Nr. 10 Poznań, dnia 7 Marca 1909 r. Rok XIII.

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Moralne zwycięstwo.

Koło polskie stawiło w parlamencie niemieckim następujący wniosek:

Parlament zechce uchwalić przyjęcie według przepisów konstytucyi następującego projektu ustawy:

Ustawa dotycząca wolności nabywania ziemi.

My, Wilhelm, z Bożej łaski cesarz niemiecki i król pruski i t. d., rozporządzamy za zgodą rady związkowej i parlamentu, co następuje:

Żadnemu obywatelowi rzeszy nie wolno ze względu na wyznanie wiary, usposobienie polityczne lub narodowość, nakładać jakichbądź ograniczeń przy nabywaniu lub sprzedaży ziemi lub przy budowaniu mieszkań. Wszystkie temu się sprzeciwiające przepisy ustaw krajowych znosi się.

Nad wnioskiem tym odbyły się bardzo wyczerpujące rozprawy, podczas których oprócz posła Seydy z Katowic dwukrotnie przemawiał zasłużony bojownik o prawa nasze p. poseł dr. Dziembowski. Dnia 26-go lutego poddano wniosek pod głosowanie, którego wyniki były następujące: oddano głosów razem 326. Za wnioskiem głosowało 189 posłów, przeciw niemu 132; pięciu posłów wstrzymało się od głosowania.

Wniosek Koła polskiego został zatem przyjęty.

Również większością głosów przyjęto następnie wstęp i tytuł ustawy. Za wnioskiem głosowali Polacy, centrowcy, wolnomyślni, socyalni demokraci i z stronnictwa rzeszy poseł Pauli, który oświadczył to już poprzednio, jako konsekwencyę swego głosowania w sejmie przeciw ustawie o wywłaszczeniu; przeciw wnioskowi głosowali konserwatyści, stronnictwo rzeszy, nacyonał liberałowie i zjednoczenie gospodarcze.

Wynik głosowania przyjęło Koło polskie, centrum i socyaliści głośnem: brawo! przeciwnicy sykaniem.

Przyjęcie wniosku polskiego w parlamencie oznacza wielkie moralne zwycięstwo słusznej naszej sprawy. Reprezentacya narodu niemieckiego, wybrana na zasadzie sprawiedliwego systemu wyborczego, potępiła olbrzymią większością głosów wywłaszczycielską politykę rządu pruskiego i nowelę osadniczą, utrudniającą parcelowanie ziemi i budowanie domów mieszkalnych na nabytych działkach.

Parlament zawołał donośnym głosem: nie chcemy wywłaszczenia w Prusach; nie chcemy, by obywatele pruscy musieli się chronić do obór, chlewów i nor podziemnych, bo im nie wolno domów budować na parcelach własną krwawicą nabytych; nie chcemy wozów drzymałowskich! Pragniemy natomiast, by każdy obywatel mógł kupować, dzierżyć i sprzedawać ziemię wedle swej woli; pragniemy, by każdy miał prawo budować domy mieszkalne, gdzie uzna za potrzebne, byleby się to nie sprzeciwiało koniecznym w tej mierze przepisom rzeczowym!

Są to żądania tak proste, tak naturalne, że pusty śmiech bierze na myśl, iż w Prusach uznanie ich ustawami osobnemi wymuszać trzeba!

Zaiste daleko zaszliśmy w państwie ładu i bojaźni Bożej, w państwie cywilizacyi i kultury, w ojczyźnie poetów i myślicieli, która przodować chce światu i której duch uzdrowić ma świat zepsuty!

Wszakżeż pół dziki mieszkaniec dziewiczych puszcz afrykańskich umie uszanować własność prywatną i prawo właściciela dowolnego nią rozporządzania. W Prusach potrzeba na to osobnej ustawy, bo przewrotna filozofia hakatystyczna tak dalece zaciemniła umysły i sumienia, że zrodziła się zupełnie nowa, niesłychana etyka polityczna, która uczy, że najwyższem prawem jest siła zbiorowa, uzmysłowiona w państwie, że zatem tej sile ustępować winny zasadnicze prawa przyrodzone i nadprzyrodzone, bo mają one walor tylko póty, póki wyższa wola państwa ich nie zniesie.

Przy całem uznaniu, jakie mieć trzeba dla sprawiedliwego aktu parlamentu niemieckiego, nie można się powstrzymać od gorżkiego śmiechu, że ten akt był potrzebny.

Parlament w teoryi przyznał Polakom prawo dowolnego rozporządzania swą własnością. Lecz od teoryi do praktyki, od uchwalenia wniosku do przeprowadzenia w myśl jego ustawy — daleka droga! Na to bowiem potrzeba zgody rządów związkowych, a ponieważ o tem w danych warunkach marzyć nie można, zwycięstwo nasze chwilowo ma tylko znaczenie moralne, czysto platoniczne.

Nie potrzebowało by tak być. Gdyby parlament naprawdę zechciał przeprzeć swą wolę, osiągnąłby pomyślny rezultat. Nie ma bowiem takiego rządu na świecie, któryby mógł lekceważyć sobie na dalszą metę żądania parlamentu, jeżeli ten ma niezłomną wolę żądania swe w czynie urzeczywistnić.

Parlament, który rzetelnie czegoś chce, który umie bronić swej powagi i wyrabiać posłuch swej woli, który nie chce, by opinię jego ministrowie nosili pod obcasem i dokumentami, zawierającemi podstawowe, zasadnicze uchwały, cygaro sobie zapalali — taki idealny parlament nie uchwali rządowi, ani jednego etatu, ani jednej ustawy, nim nie osiągnie urzeczywistnienia swych żądań, raczej na rozwiązanie się narazi, nimby miał dopuścić do lekceważenia swych uchwał.

Czy takim idealnym parlamentem jest parlament niemiecki? Czy zechce wyciągnąć ostatnie konsekwencye, czy też ograniczy się tylko na wykonaniu pięknego gestu, który co prawda bardzo dobre robi wrażenie, lecz wydatniejszej pozytywnej, powiedzmy raczej praktycznej wartości na najbliższą przyszłość nie ma?

Nie łudzimy się, żeby parlament niemiecki zdobył się właśnie w sprawie naszej na radykalne względem rządu wystąpienie, na energiczne i konsekwentne dopominanie się przedłożenia zażądanej we wniosku ustawy, a w danym razie na wywarcie odpowiedniego nacisku, po którym jedynie możnaby siię spodziewać natychmiastowych praktycznych korzyści. Mimo to nie można nie uznać przysługi, jaką sprawie naszej wyświadczył. To też wszystkim tym partyom i mężom, którzy w sprawie naszej stanęli po stronie słuszności i sprawiedliwości, należy się z naszej strony wdzięczne uznanie. Postawili oni pierwszy krok w kierunku złagodzenia polityki antypolskiej w Prusach, potępili stanowczo obecny kurs hakatystyczny i okazali godne wielkiego narodu poczucie własnej siły, brzydzące się walką na nierówną broń. Dali oni rządowi pruskiemu bolesną i zawstydzającą lekcyę, pouczyli go bowiem, że stosując do nas swą politykę, rząd pruski znajduje się w przeciwieństwie do olbrzymiej większości narodu niemieckiego. Ta zaś świadomość z natury rzeczy nie może dodawać rozmachu pruskiej akcyi antypolskiej, a raczej może hamować zbyt radykalne zapędy. Także na naszą czynność obronną uchwała parlamentu wpłynie dodatnio.

Świadomość, że wielkie ciało ustawodawcze to zn., że większość narodu niemieckiego stoi w tej sprawie po naszej stronie, podniesie u nas ducha i wzmocni nadzieję pomyślnych zmian chociaż nie w najbliższej przyszłości. Tyle bowiem pewna, że każde moralne zwycięstwo jest do pewnego stopnia zwycięstwem praktycznem. Wszelkie naprawy bowiem najprzód powstawają w idei i duchu i dopiero później się objawiają w praktyce dnia.

Prawdopodobna, że na razie uchwała parlamentu nie wiele wpłynie na nasze położenie, lecz również prawdopodobna, że rzucać ona będzie swe światło w przyszłość. Jasno wypowiedziana opinia narodu nie może przebrzmieć bez echa. Prędzej czy później musi się ona w jakiś sposób uwydatnić praktycznie.

Czekajmy na to spokojnie w poczuciu słuszności sprawy, którą bronimy, i pracujmy w dotychczasowym kierunku, nie oglądając się na nikogo, lecz od własnych sił i od własnej dzielności oczekując zwycięstwa.

Bóg, który jest Bogiem tych, którzy sobie sami pomagają, podwoi i potroi nasze siły, bylebyśmy sami o sobie nie zwątpili!

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

103) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy.)

W Prusach Wschodnich katolicy warmijscy rozwijają się w kierunku narodowym polskim, a staraniem włościan tamtejszych wychodzi w Olsztynie od roku 1885 *„Gazeta Olsztyńska.“* W roku 1893 wybrali oni do parlamentu ks. Wolszlegiera. Uświadamiają się też narodowo (zamieszkujący regencyę gumbińską i królewiecką). Mazurzy pruscy, wyznający przeważnie luteranizm, utrzymują pismo polskie p. t. *„Mazur.“*

b). Cesarz Wilhelm II. (od roku 1888).

Gdy w roku 1888 umarł cesarz Wilhelm I., wstąpił na tron niemiecki syn jego Fryderyk III. Gdy zaś ten w tymże samym roku życie zakończył, [1]) objął po nim tron syn jego Wilhelm II., jako król pruski i cesarz niemiecki.

1) Nadzieje Polaków i chwilowe ulgi.

Niespodziewał się dumny, pewny siebie i samowolny Bismark jaki los spotka go od nowego monarchy. Oto cesarz Wilhelm II., dość już mając jego dumy i samowoli, postanowił ją ukrócić, odsunął go od siebie i władzę mu odebrał. Widząc to Polacy ucieszyli się i mówili między sobą:

— O z nowem panowaniem rozpocznie się przecież „nowy kurs“ i niewątpliwie ulgi nastąpią!

I po części było to prawdą, chociaż nie na długo.

A mianowicie: opróżniona stolica arcybiskupstwa Gnieźnieńsko-Poznańskiego została teraz obsadzona, a powołano na nią zasłużonego już posła sejmowego księdza Floryana Stablewskiego (ur. 1841, um. 1906). Dalej: w parlamencie potrzebne były głosy posłów polskich rządowi, który chciał przeprowadzić ustawę o zwiększeniu wojska i marynarki, a napotykał stanowczy przeciwko niej opór wśród posłów.

Wtedy następca Bismarka, sprawiedliwy mąż, kanclerz J. L. Caprivi zbliżył się do Koła polskiego i przedłożył mu:

— Jeżeli Polacy głosować będą za ustawą rządową, otrzymają w szkołach naukę języka polskiego (na wiosnę roku 1894).

I za tę obietnicę większość Koła polskiego pod przewództwem Józ. Kościelskiego i arcybiskupa ks. Stablewskiego głosami swymi (16) dopomogła rządowi do uchwalenia owej ustawy o wojsku i marynarce. Lecz słusznie nie ufali tej ugodzie niektórzy posłowie z Leonem Czarlińskim na czele i mężowie pióra jak dr. Rzepecki, redaktor *„Gońca Wielkopolskiego,“* lękając się nawet cienia obojętności i zwątpienia dla ojczyzny wśród swego narodu. I mówili do ugodowców:

— Patrzajcież, mamy szkół 2000, a tylko w 400 dozwolona została nauka języka polskiego!

I na tem też skończyły się ulgi dla narodu polskiego.

2) Hakatyści. Nowe 100 milionów marek na fundusz kolonizacyjny.

I teraz spotkali się Polacy z bezwzględnem postępowaniem nietylko samego rządu, ale i narodu niemieckiego. Bo oto, chcąc bronić niemieckich ekonomicznych interesów

[1]) Ur. w r. 1831, panował tylko od marca do czerwca r. 1888 i umarł na chorobę krtani.

Swój do swego!

Zasada, aby zapotrzebowania swoje zaspakajać o ile możności u swoich, należy do podstawowych postulatów naszego życia gospodarczego.

Sprawiedliwość wymaga wyznać, że hasło „swój do swego“ coraz więcej znajduje posłuchu w społeczeństwie polskiem. Przyczyniły się do tego przedewszystkiem wytrwałe nawoływania prasy w tym kierunku. Nie ma bowiem chyba takiego pisma polskiego, któreby od czasu do czasu nie zamieszczało artykułu na ten temat i nie ganiło objawów sprzeciwiających się tej słusznej w naszych stosunkach zasadzie. Mimo to, lubo są postępy w tym kierunku, nie brak także przykładów świadczących o zbyt częstem lekceważeniu hasła „swój do swego.“ Przykład takiej wprost grzesznej obojętności dała instytucya polska, założona przez niespożytej pamięci Karola Marcinkowskiego, powołana do życia głównie w celu popierania handlu i przemysłu polskiego. Mamy tu na myśli „Bazar“ poznański. Instytucya ta nabyła w ostatnim czasie za kilka tysięcy marek towarów od obcych, pozatem pokrywa swe znaczne zapotrzebowania w artykułach spożywczych przeważnie u firm nie polskich. Kupiectwo polskie zajęło stanowisko w tej sprawie, skarżąc się na postępowanie dyrekcyi „Bazaru“ u przełożonej tejże władzy i odebrało odpowiedź przychylną. Mimo to dyrekcya „Bazaru“ nie zmieniła swego postępowania i coraz nowe składa dowody jawnej dla kupiectwa polskiego obojętności.

Zaiste gorżkie słowa cisną się pod pióro, gdy się zważy to grzeszne postępowanie instytucyi polskiej, istniejącej wyłącznie z Polaków i dla Polaków głównie przeznaczonej. Naszem zdaniem nie może tu być żadnego uniewinnienia. Jeżeli już od osób prywatnych żądamy, by zapotrzebowania swoje kupowali od swoich, chociażby nawet czasem przyszło ponieść drobną jaką ofiarę, o ile więcej musimy tego żądać od instytucyi tej miary, co „Bazar.“ Zamilczeć postępowania dyrektora „Bazaru“ także nie można, gdyż na to są pisma, by o sprawach obchodzących szerszą publiczność pisały, a sprawą taką jest niewątpliwie nielojalne wobec kupiectwa polskiego postępowanie dyrekcyi „Bazaru.“

Mamy niepłonną nadzieję, że czynniki stojące na czele „Bazaru“ użyją całej swej powagi i całego swego wpływu, by interesa tej instytucyi skierować na właściwe tory. Nadzieję tę żywimy tem bardziej, o ile wiemy, że decydujący głos w „Bazarze“ mają osoby znane z patryotyzmu i same w prywatnem życiu przestrzegające zasady „swój do swego“.

Poruszając tu sprawę hasła „swój do swego“, nie możemy nie zwrócić się także do kupiectwa naszego kilkoma słowy. Mianowicie mamy na uwadze lekceważenie sobie ze strony części kupców znaczenia reklamy. Można śmiało powiedzieć, że w tym kierunku dużo się u nas grzeszy. Jeżeli się porówna dział anonsów w gazetach niemieckich

---

założyli Niemcy (w roku 1894) w W. Ks. Poznańskiem t. zw. *Ostmarkenverein* t. j. *Towarzystwo ochrony kresów wschodnich*, a pod tą firmą zaczęło się gnębienie i prześladowanie żywiołu polskiego. Towarzystwo to zwane jest powszechnie *hakatą*, a członkowie jego *hakatystami;* założycielami jego bowiem byli Ferdyn. Hansemann, Kennemann i Tiedemann, stąd od pierwszych liter tychże nazwisk: H. K. T. powstała i utarła się nazwa całego towarzystwa. Bezwzględna i surowa energia działania Hakatystów rozwielmożniła się wkrótce także w całych Niemczech i zaciążyła na najlepszych objawach społecznego życia narodu niemieckiego, stając się niemiłą i nieznośną. Przed trzema laty było w Niemczech wszystkich urzędowych Hakatystów około 40,000.

W tym czasie Bismark nie miał już władzy rządowej, a przecież nie przestawał rozdrażniać i podburzać Niemców przeciw Polakom. W 12 lat po przeprowadzeniu za jego sprawą uchwały sejmowej 100 milionów marek na kolonizacyę niemiecką w Poznańskiem, uchwalił Sejm pruski w roku 1898, a więc w roku śmierci Bismarka, *nowe 100 milionów marek na fundusz kolonizacyjny,* to jest na cel wykupowania ziemi polskiej i obsadzania jej Niemcami. Przeciwko tak zgubnej dla narodu naszego uchwale, usiłującej wydrzeć najdroższy nasz skarb, odwieczną naszą ziemię polską, wystąpili z całą energią i zapałem patryotyczni posłowie polscy w Sejmie i Parlamencie niemieckim, ale te ich energiczne kroki nie miały pożądanego skutku.

3) Ustawa szkolna. Ustawa osadnicza.

Wydana w roku 1903 przez rząd pruski ustawa szkolna nakazuje:

— Dzieci polskie w szkołach mają się uczyć religii w języku niemieckim!

Przy przeprowadzeniu tej ustawy ucierpiały wiele dzieci polskie w szkołach, a szczególną wytrwałością w tych cierpieniach odznaczyły się dzieci we Wrześni, mieście powiatowem W. Ks. Poznańskiego. W tej sprawie przemówił w obronie dzieci znakomity powieściopisarz polski Henryk Senkiewicz i ogłosił list otwarty do cesarza Wilhelma II.; list ten przedrukowały dzienniki całego świata.

W roku 1904 w czerwcu, uchwalił Sejm pruski ustawę osadniczą, które to prawo można uważać za jedno z najsurowszych, jakie widział wiek XIX. Paragraf 13 b. noweli tej ustawy osadniczej wzbrania bowiem Polakom, w celu odstraszenia ich i zniechęcenia do ziemi polskiej, budować domy mieszkalne na nowych parcelach gruntowych, lub na nich tworzyć osady. Przy wzbranianiu budowania chat mieszkalnych, nie zakazano przecież budować szop, stodół, chlewów i t. p., a wskutek tego powstały zatargi i kłopoty. Gospodarz bowiem urządziwszy sobie gospodarstwo wiejskie, a nie mogąc mieć chaty mieszkalnej, nie mógł przecież nocować lub też strawę gotować w stajni, stodole lub szopie, mając to stale i surowo wzbraniane przez władzę. [1])

4) 250 milionów marek rządowych na fundusz kolonizacyjny (r. 1906.)
Powszechna walka przeciw Polakom.

Za małą jeszcze na fundusz kolonizacyjny wydawala się ta ogromna (uchwalona dawniej) suma 200 milionów marek, gdyż w roku 1906 uchwalił znowu sejm pruski na

[1]) To też zdarzył się wypadek, że Franc. Chrószcz z Pszowa, inwalida i weteran z wojny prusko-francuskiej, niepokojony ciągle przez żandarma pruskiego, zastrzelił go i sam sobie życie odebrał. Zaś Michał Drzymała z Podgradowic, który kupił kawał gruntu od Niemki a nie mógł na nim zbudować chaty mieszkalnej, nabył od wędrownego artysty duży wóz na kołach, w nim urządził sobie chatę mieszkalną, a przesuwając się z nim z miejsca na miejsce, tak omijał zakaz władzy. Społeczeństwo polskie złożyło się i kupiło Drzymale wygodny nowy wóz mieszkalny za sumę około $3^1/_2$ tysiąca marek.

z takimże gazet polskich, różnica od razu rzuci się w oczy. Tam całe arkusze ogłoszeń, których wiersz kosztuje nierzadko do 1 marki — w naszych pismach zaledwie czwarta strona wypełnioną jest anonsami, lubo że cena ich w porównaniu z ceną niemieckich pism wprost śmiesznie jest niska. Nawet bardzo poczytne tygodniki ilustrowane, które będąc przez tydzień w rękach publiczności szczególniej się do skutecznej reklamy nadają — wiele osób je oprawia — nawet tygodniki polskie nie mają ani dziesiątej części ogłoszeń tygodników niemieckich. Wielu kupców naszych, szczególnie na prowincyi, wcale nie inseruje. Starczą im zupełnie nawoływania prasy na temat „swój do swego“. Inni wielce się oburzają, gdy znajdą w pismach polskich anons obcej firmy — piszą nawet zażalenia do odnośnych administracyj, a gdy administracya przejrzy swoje książki, spostrzeże, że szanowni ci panowie nie raczyli pisma zaszczycić ani jednem ogłoszeniem, często nawet w poczt prenumeratorów pisma się nie zaliczają.

Sądzimy, że zwracając uwagę kupiectwu naszemu na ważność reklamy, wyświadczamy mu przysługę. Najlepszą zaś reklamą jest stałe anonsowanie w pismach, wyraźnie mówimy: w pismach, nie w jednem piśmie, gdyż skuteczność anonsu polega na tem, że go czytają masy, nie pewna ograniczona ilość czytelników. Mamy w Poznaniu, a także na prowincyi firmy, które znakomicie rozumieją doniosłość reklamy. Te firmy też świetnie prosperują, lubo znaczne sumy poświęcają na reklamę. Są interesy, które jedynie stoją reklamą, i to wielkie światowe firmy, których budżet reklamowy wynosi miliony rocznie.

Jesteśmy przekonani, że żywszy ruch reklamowy ze strony naszego kupiectwa znakomicie przyczyniłby się do podniesienia handlu i przemysłu rodzimego i przeciwdziałałby skutecznie przekraczaniu zasady „swój do swego“ ze strony publiczności. Nie tajna, że głównie lud nasz żywi ciągle jeszcze swym groszem obcych, zatem kupcy nasi w ludowych pismach towary swe ogłaszać powinni. Tymczasem właśnie te pisma najmniej mają anonsów.

Mamy nadzieję, że słowa te przyczynią się do żywszego zainteresowania kupiectwa naszego sprawą reklamy. Przytem zwracamy uwagę na trudne położenie naszej prasy, która wskazana jest na ogłoszenia kupców polskich. Nie wypadałoby bowiem pismu polskiemu ogłaszać się w niemieckich gazetach, jako organ reklamowy, i w ten sposób przymnażać sobie dochodów.

Wracając do hasła „swój do swego“ nie należy go pojmować, jako hasła zemsty, nienawiści itd., lecz brać je zupełnie poprostu, jako środek samozachowawczy, jako sposób uzyskania niezależności ekonomicznej. Nie potrzeba tego długo tłumaczyć. My, dla których urzędy są tak dobrze, jak zamknięte, którzy na żadne poparcie z zewnątrz liczyć nie możemy, których ściga urzędowy i prywatny bojkot, musielibyśmy zginąć, gdybyśmy jeszcze dobrowolnie pieniądz nasz zanosili do obcych. Przez to, że popieramy swoich adwokatów, lekarzy, aptekarzy, budowniczych, kupców, przemysłowców, rzemieślników i t. d., umożliwiamy im egzystencyę i utrzymujemy firmy, w których my sami lub dzieci nasze mogą znaleść utrzymanie, wytwarzamy grunt pod byt ekonomiczny społeczeństwa i wzmacniamy podstawy narodowe. Gdyby bojkotu na wszystkich polach po przeciwnej stronie nie było, nie byłoby też racyi tak silnego akcentowania hasła „swój do swego“, gdyż ekonomiczne stosunki rozwijałyby się zupełnie naturalnie a wolnej konkurencyi lękać się nie potrzebowalibyśmy. Tak

---

ten cel jeszcze 250 milionów marek. Fundusz kolonizacyjny wynosił więc ogółem 450 milionów marek, z których na samo wykupno ziemi użyto 350 milionów; w przeciągu lat 20 osiedliło się w koloniach na ziemiach polskich około 90,000 Niemców. W państwie na wszystkich polach życia i pracy **rozpoczęła się przeciwko Polakom walka otwarta** i surowa.

— Polacy nie zasługują na żadne względy! — rozległ się powszechny głos we wszelkich urzędach, w handlu, przemyśle, rzemiosłach, w koloniach wiejskich. Ściśnięto swobodę polskich towarzystw, wzbraniano zabaw, śpiewów towarzyskich, sokolskich ćwiczeń gimnastycznych. Nie było już polskiej nauki religii w wielu nawet najniższych klasach szkolnych, nie było już nabożeństw polskich w dzielnicach pogranicznych. Utrudniano i powstrzymywano wszelkimi sposobami otwieranie ochronek i przytułków dla dzieci, a jeśli zacne i patryotyczne niewiasty odważyły się uczyć prywatnie języka polskiego, rząd więził je i naznaczał na nie surowe kary.

W takich warunkach wśród łączącego się silnie kupiectwa poznańskiego wszczął się ruch i dały się słyszeć głosy oburzenia:

— Jakto bracia, więc już całkiem damy się zgnieść hakatystom, więc już nie znajdziemy żadnego ratunku na naszą zgubę?!

I przy powszechnem zajęciu się, żywo i energicznie, na podstawie praw konstytucyjnych zawiązała się tak zw. *„Straż,“* t. j. towarzystwo obronne antyhakatystyczne, zwane urzędowo: *Der polnische Ostmarkenverein.* Towarzystwo to rozciąga swą działalność na wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego i na podstawie praw broni je przed nadużyciami (już od początku roku 1905).

5) Ustawa o wywłaszczeniu Ustawa językowa (r. 1908.)

Tymczasem rząd układał coraz dotkliwsze przeciw Polakom ustawy. Z początkiem roku 1908 przedłożony został pruskiej izbie panów pod obrady wniosek frankfurckiego burmistrza Adickesa o wywłaszczeniu. Miało uledz wywłaszczeniu 280 tysięcy morgów ziemi polskiej w Księstwie Poznańskiem i w Prusach Królewskich. Wyjątek stanowiły kościoły, cmentarze, posiadłości ziemskie kościelne, proboszczów, zakładów dobroczynnych. Ustawa ta pozwalająca z lekkiem sercem zabrać spokojnym obywatelom państwa ich ziemię rodzinną i rodową, wprawdzie za pełnem wynagrodzeniem, ale wbrew ich wyraźnej woli, została uchwalona przez izbę panów, a potem przez izbę poselską (dnia 3-go marca). Dnia 20-go marca tego roku (1908) podpisał ją i uczynił prawomocną cesarz Wilhelm II.

Wreszcie jakże strasznie zagrożony został ojczysty język polski, gdy już, nie tylko dzieciom w szkołach, nietylko pobożnym w pogranicznych kościołach, ale wszystkim polskim obywatelom państwa na ich własnej ziemi wzbroniono mówić i porozumiewać się wzajemnie w ich ojczystym przyrodzonym języku polskim! Oto dnia 19-go marca 1908 r. przyjęła komisya parlamentarna *paragraf siódmy* do ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach, klauzulę [1]) językową, która opiewa:

— Rozprawy na zebraniach publicznych mogą się odbywać tylko w języku niemieckim! Po polsku przemawiać na zebraniach wolno, jeszcze, — jednak tylko przez lat 20 — w tych powiatach, gdzie wśród ogółu ludności jest Polaków 60% (większa połowa). (C. d. n.)

[1]) *Klauzula,* z łac., zastrzeżenie, warunek, termin zamieszczony w dokumencie prawnym, z obowiązkiem dotrzymania go.

jednak, jak jest, tylko silne zwarcie się ekonomiczne może nas ocalić.

Przy tej sposobności prosimy usilnie czytelników naszych, by przy zakupnach firmom polecającym się w naszem piśmie dawali pierwszeństwo. Również pożądane jest powoływanie się na nasze pismo przy obstalunkach i t. d.

Na widowni.

Jeszcze przed tygodniem położenie na Bałkanie bardzo groźne miało oblicze. Serbia, czując za sobą poparcie Rosyi, bardzo ostro występowała wobec Austryi, domagając się terytoryalnego odszkodowania w zamian za aneksyę Bośni i Hercegowiny. Marzyciele serbscy już widzieli w duchu wielką wojnę europejską, która nietylko stać się miała grobem Austryi, lecz miała być zadatkiem powstania wielkoserbskiego państwa, sięgającego do morza. Zaniepokojenie ogólne uwydatniło się w Europie. Anglia dość obojętnie przypatrywała się tej grze, Niemcy oświadczyły się stanowczo za Austryą, a Francya, drżąc o miliardy, które rosyjskiemu pożyczyła sojusznikowi, a które w ogniu wojny europejskiej łatwo mogły stopnieć, poczęła doradzać do dyplomatycznej interwencyi na korzyść pokoju. Jakoż Rosya oświadczyła się za zbiorową interwencyą mocarstw tak w Białogrodzie, jak i w Wiedniu. Plan ten jednak stanowczo odrzucono w Austryi, wskutek czego Niemcy oświadczyły się tylko za interwencyą w Belgradzie, na co się też wszystkie mocarstwa zgodziły. Tylko Rosya, pamiętna swej obłudnej roli „opiekunki Słowian", których we własnym kraju gnębi niemiłosiernie, zajęła na razie stanowisko wyczekujące. Trwało to przez kilka dni, co nadawało całej sprawie charakter wielce problematyczny. Pogłoski wojenne zaczęły obiegać prasę, najpoważniejsze pisma europejskie prorokowały wczesny wybuch wojny. Jednakże w sam czas przypomnieli sobie głowacze petersburscy, że nie mają ani pieniędzy ani należycie wyćwiczonej armii, by módz się rzucić w krwawą imprezę, więc postanowili w wielce dowcipny sposób salwować się z tego dylematu. Otóż rosyjski minister spraw zagranicznych wystosował na własną rękę i jakoby z własnej inicyatywy przyjazną notę do rządu serbskiego, w której doradzał zrzeczenie się kompensat terytoryalnych, w zamian zaś obiecywał poparcie mocarstw w sprawie kompensat ekonomicznych. Ponieważ Austrya gotowa jest do takich ustępstw, w rzędzie których najważniejsze miejsce zajmuje budowa kolei, łączącej Serbię z morzem, więc są nadzieje, że cały zatarg serbsko-austryacki załatwi się pomyślnie na drodze pokojowej, czemu tylko ze stanowiska ludzkiego i słowiańskiego przyklasnąć należy. Odzywają się wprawdzie głosy w Wiedniu żądające upokorzenia Serbii, lecz głosy gazet — to nie głosy rządu. Na uwagę zasługuje spokojny rządowy komunikat serbski, w którym powiedziano, że Serbia ma zaufanie do mocarstw europejskich, jako też że pragnie żyć z Austryą w pokoju. Tak więc sprawa serbsko-austryacka znów na pomyślniejsze weszła tory i życzyćby należało, żeby ją nierozważna polityka nie popchnęła ponownie na bezdroża.

Gdy to się dzieje w gabinetach dyplomatycznych, w Berlinie Koło polskie przez usta swych mówców broni w sejmie praw naszych. Tak więc poseł ks. prałat Jażdżewski uzasadnia w długiej i znakomitej mowie wniosek polski, domagający się dopuszczenia języków nieniemieckich na zebraniach publicznych w Prusach. Wniosek ten oczywiście nie uzyskał większości i przepadł, lecz dostarczył ciekawego widowiska przynajmniej, bo ci sami wolnomyślni, którzy w bezgranicznym oportuniźmie pomagali w parlamencie do ukucia antypolskiej ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach, w sejmie głosowali w myśl paragrafowi językowemu przeciwną. Zapamiętać należy, że opór wolnomyślnych w parlamencie byłby był tę ustawę obalił, podczas gdy ich głosowanie w sejmie w tej sprawie żadnego nie mogło wydać dodatniego rezultatu. Poseł dr. Zygmunt Seyda z Katowic uzasadniał wniosek polski o kartach legitymacyjnych dla robotników sezonowych, dowodząc, że odnośny przepis sprzeciwia się ustawom, które nie wymagają od obcokrajowców żadnych legitymacyi, czy to przy przekraczaniu granicy, czy też na dłuższy pobyt, dalej, że sprzeciwia się traktatom handlowym, zawartym z Rosyą i Austryą. Nakoniec rozwiódł się mówca obszernie o działalności tajnej policyi, mianowicie o szpiclowaniu i prowokacyi, uprawianej na G. Śląsku, oświetlając dla przykładu znaną sprawę policyanta Pietzonki i stwierdzając z naciskiem, że urzędnik ten działał z polecenia władz przełożonych.

Ks. Bülow, któremu w ostatnich czasach sprawa reformy finansów rzeszy wiele robiła kłopotu i który już słusznie począł się lękać o los trzeszczącego pod ciężarem tej reformy bloku, odetchnął nieco swobodniej, gdyż, jak słychać, podkomisya, obradująca nad reformą wyborczą, a złozona z czterech blokowców doszła w tej sprawie do porozumienia na podstawie podatku od posiadania. Podobne nawet dzieci, dziedzicząc po rodzicach, będą się musiały opłacać fiskusowi.

Z naszych spraw na uwagę zasługuje notatka „Gaz. Toruńskiej" donosząca o blizkiem ustąpieniu posła Bernarda Chrzanowskiego. Wiadomość ta, jak donosi pismo blisko posła Chrzanowskiego stojące, jest przedwczesna. Zdaje się więc, że złożenie mandatu przez wspomnianego posła prędzej czy później nastąpi niestety. Łącznie z komentarzami dotyczącemi tej sprawy wypłynęło ponownie nazwisko p. A. Piotrowskiego, jako rzekomego następcy posła Chrzanowskiego, lecz równocześnie pojawiło się oświadczenie p. Piotrowskiego, w którem tenże podaje do wiadomości publicznej, że ewentualnie ofiarowanego mu mandatu pod żadnym warunkiem nie przyjmie. Zatem zwolennicy kandydatury robotniczej będą się musieli obejrzeć za innym kandydatem, by w danym razie mogli wystąpić jednomyślnie. Roztrzelenie się bowiem sentymentu robotników na różne osobistości sprawy wyboru posła robotnika nie popycha naprzód.

Przegląd prasy.

Moralne zwycięstwo wniosku polskiego w parlamencie komentują wszystkie gazety polskie. W artykułach tych przebrzmiewa szczere zadowolenie z potępienia, jakiego doznała cała pruska antypolska polityka kolonizacyjna. Nie możemy tu powtarzać tych głosów. Za daleko by to prowadziło. Pragnęlibyśmy tylko zwrócić uwagę na zdanie *„Gazety Grudziądzkiej"*, która z wielkiem uznaniem rozpisuje się o znakomitych występach posłów Gotheina, Dovego i Ledeboura, a o mowach posłów naszych pp. Dziembowskiego i Seydy tak pisze:

„Walka, jaka się toczyła 19-go, 25-go i 26-go lutego w obronie ziemi polskiej w parlamencie, była chwilami bardzo zawzięta. We walce tej odznaczył się nadzwyczajnie poseł dr. Dziembowski. Poseł Dziembowski pokazał ponownie, że jest jednym z najlepszych mówców w Kole Polskiem

i jednym z najlepszych szermierzy na słowa.

„Jednem słowem obrona praw ludu polskiego przez posła dr. Dziembowskiego była znakomitą.

„Nie jesteśmy przyjaciółmi politycznymi posła Dziembowskiego, uznajemy też, że poseł Dziembowski popełnił niejeden ciężki błąd polityczny, ale lubimy być sprawiedliwymi! Nie kierujemy się małoduszną zawiścią partyjną, ani wstrętnemi względami osobistemi i dla tego chętnie uznajemy w tym przypadku zasługi posła Dziembowskiego w całej pełni. Uważamy też, że zasługi, jakie sobie w tym przypadku zaskarbił, mażą niejedną jego winę. To też jesteśmy przekonani, że lud polski, który zna błędy polityczne posła Dziembowskiego, wobec dzielnej obrony praw jego puści w niepamięć niejedno, o czem inaczej byłby musiał pamiętać i nadal.

„Drugim szermierzem polskim był poseł Władysław Seyda. I mowa posła Seydy umiała silne wywrzeć wrażenie, ponieważ huczało z niej święte oburzenie mówcy, które było dowodem, że mówca głęboko odczuwa krzywdę, jaka się dzieje jego narodowi.“

Użyteczną jest rzeczą wskazać na powyższe słowa dobrze ludowej gazety posła Kulerskiego właśnie w chwili obecnej, gdy niektóre pisma polskie nie znają granic w zohydzaniu publicznej działalności posła Dziembowskiego. I my nie należymy do tych, którzy się na wszystko piszą, co poseł Dziembowski uczynił i powiedział. Widzimy dobrze jego błędy i wady. Lecz z drugiej strony wiemy, że poseł Dziembowski jest tak wybitną siłą parlamentarną, że tylko z najwyższem ubolewaniem możemy patrzeć na agitacyę, chcącą posła Dziembowskiego pozbawić krzesła poselskiego. Razem z „Gazetą Grudziądzką“ żywimy też nadzieję, że lud polski zapomni posłowi Dziembowskiemu jego przewinienia polityczne, które przecież wypływały z szczerej chęci służenia narodowi. Zresztą gdzież człowiek, gdzież polityk, któryby nigdy nie był zbłądził? Poseł Dziembowski więcej od wielu innych występował na arenie publicznej, więc więcej też był narażony na poczynienie niewłaściwych może kroków. Nie błądzi tylko ten, co nic nie robi!

Nakoniec podajemy jeszcze ostatni ustęp z wspomnianego artykułu *„Gaz. Grudz.“* Czytamy tam:

„W każdym razie pokazało się, że olbrzymia większość narodu niemieckiego potępia prawodawstwo antypolskie rządu pruskiego. Za to niech mu będzie cześć. Niech nam też będzie wolno przy tej okazyi ponownie zaznaczyć, *że naród polski nic nie ma przeciwko narodowi niemieckiemu*, jak to kłamliwie twierdzą blaty polakożercze. Lecz walczyć będziemy do upadłego przeciwko podłej klice polakożerczej, która czyha na zgubę narodu polskiego.“

Może by panowie Wagner i Vossberg, którzy tak skrzętnie z wycinków pism polskich zestawiają rozmaite „Polenszpigle“, także ten ustęp podali do wiadomości publiczności niemieckiej. Wszakżeż „Gaz. Grudz.“ uchodzi w opinii niemieckiej za pismo szczególnie „radykalne“, a przecież nie waha się napisać, że „naród polski nie ma nic przeciwko narodowi niemieckiemu“. Zgadza się to najzupełniej z prawdą. Jesteśmy tylko wrogami hakatyzmu. Z rzetelnymi Niemcami pragniemy żyć w pokoju.

Głośne sprawy

Stanisława Brzozowskiego i Janiny Borowskiej.

W pierwszych dniach maja ubiegłego roku, zawrzało w kołach rewolucyjnych Krakowa. Wydawany tajnie „Czerwony Sztandar“, organ Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego i Litwy, ogłosił zakomunikowaną sobie z autentycznego źródła „czarną listę“ osób, stojących na usługach warszawskiej ochrany. Na strasznej tej liście,



Stanisław Brzozowski.

która obejmowała kilkadziesiąt osób, należących przeważnie do inteligencyi, a grających mniej i więcej wybitną rolę w ruchu konspiracyjnym, znajdowało się nazwisko głośnego literata: krytyka, dramaturga, powieściopisarza, filozofa, publicysty — *Stanisława Brzozowskiego.* Sama lista wywarła wrażenie przygnębiające; ale dotyczyła ona wewnętrznej sprawy obozu rewolucyjnego, odsłaniała zjawisko, jeśli nie pospolite, to znane i do pewnego stopnia naturalne, jak naturalną jest wszelka zbrodnia, jak naturalnemi i nieuniknionemi są męty życia. Czemś potwornem czyniło ją dopiero widniejące na niej nazwisko St. Brzozowskiego. Wywołało zdumienie i przerażenie. Uderzyło, jak grom. To też Brzozowski zażądał wkrótce po ogłoszeniu „czarnej listy“ sądu partyjnego dla rozpatrzenia swej sprawy. W liście otwartym zaprzeczył wszystkiemu. Domagał się dowodów.

Partya zwlekała długo, nakoniec zgodziła się na sąd obywatelski, który zebrał się świeżo w Krakowie, w parę tygodni po wyłonieniu się niesłychanej w dziejach i dziwnym zbiegiem okoliczności tak podobnej w swych zasadniczych zarysach — sprawy Azewa, zdemaskowanego szpiega policyi rosyjskiej i rewolucyonisty w jednej osobie. Człowiekiem, który zdarł maskę rewolucyonisty z tego arcy-prowokatora, był Bakaj, nawrócony urzędnik ochrany. Ten sam człowiek oskarża Brzozowskiego.

Tydzień cały nie wyczerpał jeszcze przedmiotu. Śmiertelna walka obrony z oskarżeniem przedłużyła się nad oczekiwanie.

Winny, czy niewinny?

Odpowiedź nie nastąpiła jeszcze. Rozprawa została odroczona dla przeprowadzenia nowych badań. Zagadka trwa dalej.

* * *

Jednocześnie ze sprawą p. Brzozowskiego odbywała się w Krakowie sprawa sądowa p. Janiny Borowskiej, słuchaczki medycyny, która została pomieszczoną na tej samej, co i Brzozowski, *„czarnej liście“*, ogłoszonej w „Czerwonym Sztandarze“, a pochodzącej od Bakaja. Sprawa ta, identyczna z pierwszą co do istoty czynu inkryminowanego i treści moralnej, pod temi samemi zarzutami stawiająca obie te osoby, posiada jednakże zgoła odmienne kształty akcyi prawnej. Pani Borowska sądu partyjnego nie chciała ani powołać, ani przyjąć. Jej przekonania chylą się raczej w stronę narodowych ideałów, aniżeli socyalistycznych, jak sama oznajmia. Zwróciła się do sądu koronnego. I wystąpiła doń, jako oskarżycielka.

Oskarżonym jest dr. Haecker, redaktor krakowskiego socyalistycznego „Naprzodu“. Zarzuty, któremi w piśmie swojem otaczał panią Borowską, postawiły ją niejako po za nawiasem społeczeństwa. Koledzy jej z fakultetu medycznego ogłosili bojkot. A gdy ustąpić sama z sal uniwersyteckich i klinik nie chciała, zagrozili, że sami z nich wyjdą wszyscy niemal. Rektor uniwersytetu, ks. Gabryl, napisał wtedy do pani Borowskiej list, doradzający jej zwrócenie się na drogę sądową.

To właśnie uczyniła.

Sprawa formalnie toczyła się o oszczerstwo. I w sprawie szło o to, czy dr. Haecker złoży „dowód prawdy“, wy-

magany przez prawo, czy nie. A właściwie, czy zeznania Bakaja, który świadczył w obu sprawach, zostaną przez ławę przysięgłych uznane za dowód wystarczający, czy nie.

Po długich i denerwujących rozprawach, zapadł nareszcie dn. 23 z. m. wyrok. Sąd przysięgłych uznał p. Haeckera za winnego obrazy czci i 11-ma głosami oświadczył, że Haecker nie udowodnił p. Borowskiej hańbiących czynów. Na podstawie tego werdytku sędziów przysięgłych trybunał skazał redaktora „Naprzodu“ na 1 miesiąc więzienia, oraz na poniesienie kosztów sądowych. Skazany po wysłuchaniu wyroku oświadczył, że zarzuty swe podtrzymuje i zgłasza nieważność wyroku.



Janina Borowska.

Proces Brzozowskiej był jednym z najciekawszych, jakie kiedykolwiek rozgrywały się przed trybunałami austryackiemi. Roztrząsano w nim bowiem stosunki policyi rosyjskiej.

Przed trybunałem przesuwali się podrzędni funkcyonaryusze policyi, którzy konspirowali przeciwko swoim przełożonym, ażeby szefa policyi podkopać. Opisywano, jak oni urządzali zamachy dynamitowe itd.

Rozprawa rzuciła światło na zamachy przeciw Plehwemu i Wielkiemu Księciu Sergiuszowi. Policya była sama w ustawicznych stosunkach z rewolucyonistami: ci sami ludzie służyli rewolucyi i rządowi — rządowi i rewolucyi. Policya miała swoich ludzi w kółkach spiskowców, spiskowcy w biurach „ochrany“, tak, że ostatecznie nie podobna oznaczyć granicy, gdzie kończył się funkcyonaryusz policyi, a gdzie zaczynał się rewolucyonista.

Klasycznym okazem takiego hermafrodyty policyjno-rewolucyjnego jest n. p. Bakaj. Rozfanatyzowane tłumy ludu prowadzi w Petersburgu przed pałac Zimowy ubrany w szaty cerkiewne ajent policyjny Hapon — na to, ażeby sprawiono w tym tłumie rzeź krwawą.

Listy od przyjaciół.

Tolerancya węgierska.

W jednym z ostatnich artykułów swoich, umieszczonych w łamach „Pracy“, porównywał współpracownik nasz p. G. Smólski położenie Słowaków na Węgrzech z położeniem naszem w Prusach, przyczem skrytykował ostro antysłowacką politykę węgierską.

W odpowiedzi na ten artykuł otrzymaliśmy od pewnego patryoty węgierskiego dłuższą korespondencyę, z której podajemy najważniejsze ustępy.

Brzmi ona:

Na twierdzenie o tyraniźmie Węgrów odpowiedzieć należy, że naród węgierski jest tolerantnym i to tak pod względem religijnym, jak i pod względem narodowym. Co do ostatniego punktu panuje w świecie jeszcze wiele przesądów, które z biegiem czasu stały się — żeby się tak wyrazić — tradycyjnemi. Nie jest jednak Węgier bynajmniej tyranem nie-Madziarów. Węgrowi jeszcze zbyt dobrze pamiętny jest rok 1848, w którym nie-Madziarzy, po wielkiej części Słowacy, walczyli pod sztandarem węgierskim razem z innymi za wolność i niepodległość wspólnej ojczyzny, aby miał myśleć nawet na chwilę o wytępieniu tej narodowości w kraju. Jedyna rzecz, której żąda, to wierność względem tej ojczyzny, która żywi wszystkich obywateli bez różnicy i jako pewny znak tej wierności wymaga znajomości węgierskiego języka i uznania go za język państwowy bez wyrzeczenia się języka ojczystego.

Od roku 1867-go, gdy się właściwie zaczynało oficyalne życie państwowe Węgrów, spotykamy niejedną ważną ustawę, która świadczy o istnieniu prawdziwie liberalnej myśli Węgrów pod względem narodowościowym. W roku 1868 utworzono ugodę z Chorwatami, która przyznaje im zupełną autonomię z prawie wszelkiemi prawami niepodległego państwa. — W tym samym roku utworzono ustawę narodowościową, która oddaje narodowościom pełne prawo do pielęgnowania swego narodowego charakteru i do budowania w tym celu szkół średnich. Takie szkoły średnie posiadali także Słowacy, oprócz tego mieli dwa towarzystwa t. zw. kulturalne pod nazwą: „Zivena“ i „Matica.“ Ówczesny minister spraw wewnętrznych, baron Eötvös zamknął jednak te szkoły i instytucye. Wykazało się bowiem, że nie służyły one wcale ojczyźnie i ku pielęgnowaniu uczucia państwowego, lecz były środkami agitacyi słynnej „czesko-slowenskej jednoty.“

Kilku Czechów bowiem chciało pomnożyć liczbę Czechów przez uzyskanie Słowaków węgierskich dla idei wszechczeskiej. Idea ta streszcza się w tem, że język słowacki jest jedynie dyalektem czeskiego języka, że więc słowacki naród z natury rzeczy stanowi część czeskiego narodu. Wcale naturalnie, że takiego kierunku nie można uważać za czysto językowy, lecz trzeba przyznać, że ma on jeszcze polityczną stronę największej może doniosłości. O ile pewna jest, że mamy uszanować narodowe uczucie w człowieku, tyle również jasna, że nikt nie ma prawa do mięszania się w sprawy obcego państwa i agitowania między obywatelami, jako cudzoziemiec, jak to czynili owi Czesi. Takiemu prawu jednak przeciwstawiają agitatorzy nieubłaganą konieczność tego mieszania się, jako prawa obrony przeciw grożącemu niebezpieczeństwu. Agitatorzy muszą usprawiedliwić swe postępowanie przez głośne okrzykiwanie tyranizmu węgierskiego, przeciw któremu Słowacy rzekomo potrzebują pomocy braci najbliższych — czeskich. W skutek tego zaczyna się szerzyć ogólne niezadowolenie i coraz głośniejszym i większym staje się szereg żądań. To, co słowaczyzna t. zw. patryotyczna za równouprawnienie uważa, byłoby w ostatniej konsekwencyi państwo w państwie, tj. coś podobnego, jak Chorwacya-Slawonia. Doprowadziłoby to nareszcie do rozdzielenia Węgier na sześć albo siedem części, na co by się Węgrzy nigdy zgodzić nie mogli.

Wobec separatyzmu słowackich obywateli nie występują Węgrzy jednak nigdy przeciw ogółowi Słowaków. Szkoły słowackie zaś zostały zamknięte, aby przeszkodzić zbyt szybkiemu rozszerzeniu się wszechczeskiej idei między ludem słowackim. Zaznaczyć należy, że nietylko Słowacy, ale i inne narodowości w Węgrzech dają szerokie pola do nacyonalistycznej agitacyi. Tak n. p. Sasi w Siedmiogrodzie są jako protestanci przeważnie pod wpływem Gustaw-Adolfvereinu i podobnych niemieckich stowarzyszeń, które działają pilnie w kierunku rozszerzenia wszechniemieckiej idei. Serbowie zaś narażeni są ciągle na znaną wielkoserbską agitacyę. Jednak posiadają te narodowości własne szkoły średnie; tylko do szkół słowackich stracił rząd zaufanie.

I teraz, w porze rządu t. zw. narodowo-madziarskiego wyraża się w życiu publicznem w Węgrzech tolerancya narodowościowa. Minister Franciszek Kossuth, który jest jednocześnie przewodnikiem stronnictwa niepodległości, stokroć zaznaczał, że wybudowanie węgierskiego państwa musi być uzasadnionem na szczerej miłości względem ojczyzny, w którejkolwiekbądź mowie ona się wyraża. Zapewnie znany jest i nowy projekt prawa wyborczego, utworzony przez ministra spraw wewnętrznych hr. Andrassy'ego, który stoi na czele stronnictwa konstytucyjnego. Ów projekt uwzględnia jedynie stopień cywilizacyi u jednostek, a o jakiejś różnicy narodowościowej wcale nie wspomina.

Jeśli jednak wszystko to prawda, jeśli tolerancya Węgrów wyraża się w dziejach, czy nie jest rzecza niezrozumiałą, że narodowości w Węgrzech skarzą się na ucisk i że słowa agitato-

rów cudzoziemców znajdują tylu dobrowolnych zwolenników? Dla rzeczoznawcy fakt ten wcale nie jest niezrozumiałym; owszem leży w samej naturze rzeczy. Otóż Węgry nie tworzą państwa absolutnie niepodległego, gdyż od roku 1867-go przywiązane są do Austryi w wielu ważnych punktach życia państwowego. Wskutek tego nie uchodzi u nikogo za zdradę stanu państwowość Węgier krytykować, albo też rozbudowywać ją według myśli ultranarodowościowej. Dlatego też brak prawdziwej powagi u każdego rozporządzenia rządowego i ustawodawczego, co do idei państwowości Węgier. Przypomnijmy sobie „ucisk“ Rusinów w Galicyi; dzieje się tam podobnie. Polacy mają pierwszeństwo, ale z braku wydatniejszej oficyalnej powagi zyskują Rusini szerokie pole do agitowania przeciw Polakom.

Zaakcentować należy, że właśnie tolerancya Węgrów przyczyniała się do tego, że agitacye narodowościowe nie rozpowszechniały się w spodziewanej mierze. Niemcy stoją daleko od wszelkiej agitacyi. Sasi w Siedmiogrodzie stoją wprawdzie pod wpływem pewnej agitacyi, która jednak ledwie daje się we znaki. Nie może też być dla agitatorów faktem bardzo pocieszającym, że sascy posłowie przeszli przy ostatnich wyborach do stronnictwa konstytucyjnego. I inne narodowości, Słowacy, Rumuni, Serbowie nie są bynajmniej tak radykalnymi, jak ich przedstawiciele w parlamencie. Ci może przemawiają w imieniu swych wyborców, ale żadną miarą w imieniu „całego narodu“, jak nas zapewniają. Owszem ludność narodowościowa w poważnej części głosowała na kandydatów, należących do jednego z węgierskich stronnictw parlamentu, a nie na kandydatów t. zw. „narodowościowych.“

* * *

Od Redakcyi. Z góry szan. korespondentowi przyznajemy, że Słowacy mają w Węgrzech lepiej, niż Polacy w Prusach. Nie ma bowiem na Węgrzech ani komiyi kolonizacyjnej, ani noweli osadniczej, ani wywłaszczenia. Ale to słaba pociecha. Fakt, że Słowacy nie mają swoich szkół sam jeden starczy na potępienie systemu węgierskiego na Słowaczy. Odmawianie bowiem narodowi szkół własnych jest krzywdą tak wielką, że nie można jej usprawiedliwić powoływaniem się na żadną agitacyę. Bezsprzecznie nie powinny być szkoły ogniskami agitacyi. Lecz tak samo nie są one na to, by ich używać jako środka ku pielęgnowaniu uczucia państwowego — jak to mniema autor. Zadaniem szkoły jest uczyć młodzież użytecznych rzeczy i umoralniać ją — więcej nic. Mądry rząd zagrodzi agitacyi w szkołach, lecz nigdy ich nie zniesie.

Autor powołuje się na rozmaite ustawy, świadczące o tolerancyi węgierskiej. Miły Boże! Toć i pruskie ustawy na zewnątrz tak bardzo źle nie wyglądają, konstytucya także nie dzieli obywateli według narodowości. A jednak, jak twarde są te ustawy w praktyce dla Polaków, jak ciężkie pod niemi nasze życie! Nie o brzmienie ustaw chodzi, lecz o ich wykonywanie. O zachwalanym np. projekcie wyborczym hr. Andrassy'ego wiadoma przecież, że w praktyce musi on wyjść na korzyść Węgrów a na niekorzyść Słowaków, gdyż ci właśnie są owym małocywilizowanym żywiołem. Także fakt, że część Słowaków głosuje na posłów węgierskich nie dowodzi, że ludzie ci są z systemu węgierskiego zadowoleni. Tak np. nasi Górnoślązacy przez kilkadziesiąt lat wybierali niemieckich posłów centrowych, a wcale się systemem pruskim nie zachwycali. Dowodzi to tylko braku uświadomienia narodowego i politycznego, które natychmiast się znajdzie, gdy zawita do kraju oświata. Tej oświaty boi się prawdopodobnie system węgierski na Słowaczy, stąd zamyka szkoły i towarzystwa słowackie. Co do nas nie wierzymy w twórczą siłę agitacyi. Agitacya — to tylko podmuch, który żarzące się iskry rozpłomienia. Gdzie nie ma zarzewia, tam wszelka agitacya będzie bezsilną. Pisze autor, że Serbowie, Rumuni, Niemcy, Sasi w Siedmiogrodzie mają swoje szkoły — tylko Słowacy nie. Czy może dlatego, że za tamtymi stoją w odwodzie niezawisłe państwa, podczas gdy za biednymi Słowakami nikt się nie ujmuje?

Jesteśmy szczerymi przyjaciołmi dzielnego narodu węgierskiego, lecz przeciwsłowackiej polityki rządu węgierskiego pochwalić nie możemy, zanadto ona trąci prusaczyzną. Sądzimy, że każdy obywatel węgierski powinien znać język państwowy, lecz każdy powinien się uczyć w swoim ojczystym języku. Również prawo tworzenia stowarzyszeń wszelkiego rodzaju nie powinno być kwestyonowane.

Biada społeczeństwom, w których mężowie dojrzali nie umieliby rozkazywać, a w których młodzież i kobiety występowałyby jako działacze, prawodawcy i kierownicy społeczni! Ile razy takie czynniki ukazują się na publicznej scenie, rodzi się chaos, objaw społecznego rozkładu.

Bolesław Prus.

* * *

Jeżeli nie ulega wątpliwości, że skutek a nie środek jest celem usiłowań człowieka, tedy nie o rozszerzenie pracy samej lecz o podniesienie jej skuteczności starać się należy; praca skuteczna rozwijać się będzie własnym popędem.

Józef Supiński.

---

†

Z żałobnej karty.



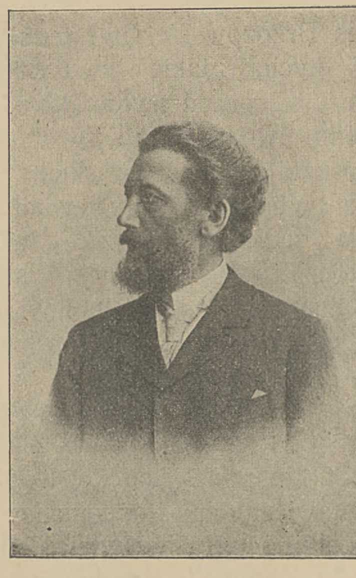
Włodzimierz Gniewosz,
były poseł do austryackiej rady państwa, który przed laty zyskał rozgłos z powodu pojedynku z wszechniemieckim posłem Wolffem, zmarł w Wiedniu.

* * *

Ś. p. Dr. Leonard Piętak,

były minister, umarł dnia 26-go z. m. w Wiedniu.

Ś. p. Leonard Piętak urodził się w lutym 1841 roku w Przemyślu. Studya uniwersyteckie ukończył we Lwowie w roku 1864. W trzy lata później uzyskał doktorat i wstąpił do służby w prokuratoryi państwa. W roku 1869 habilitował się jako docent prawa handlowego i rzymskiego, w roku 1870 został nad-



Dr. Leonard Piętak.

zwyczajnym profesorem prawa handlowego i wekslowego, w roku 1876 zwyczajnym. Był kilkakrotnie dziekanem i dwa razy rektorem. W roku 1893 otrzymał tytuł radcy dworu. Był także literacko czynnym; wydał mianowicie rozprawy o towarzystwach zarobkowych, o giełdzie, o interesach kredytowych i inne.

Do rady państwa wszedł w roku 1893, jako następca Smolki. Był między innemi referentem wielkiej ustawy o prawie autorskiem. W roku 1899 został wybrany wiceprezydentem izby po-

słów. Do roku 1907 miał mandat poselski. W gabinecie dr. Koerbera został ministrem bez portfelu i pozostawał na tem stanowisku za barona Gautscha i ks. Hohenlohego. W roku 1900 został tajnym radcą. W cztery lata później otrzymał order żelaznej korony I klasy, a następnie wielki krzyż orderu Leopolda.

Z teatru.

Dwa benefisy: „Halka“ i „Preciosa“.

Serya przedstawień benefisowych rozpoczęła się w czwartek zeszłego tygodnia honorowym wieczorem p. Langera, który 25-te przedstawienie „Halki“ wybrał sobie na benefis.

Teatr był szczelnie zapełniony wytworną publicznością, która z zapałem oklaskiwała znakomicie przez benefisanta wyćwiczoną operę. Przed kurtyną na udekorowanej girlandą scenie widniał obramowany laurem portret Moniuszki, również loża Moniuszki przybrana była w zieleń. Mnóstwo kwiatów, wieńców, bukietów pojawiło się na samej scenie, gdyż oprócz benefisanta, którego obdarzono wspaniałym wieńcem, także wszyscy soliści otrzymali upominki kwiatowe. Nadawało to całemu przedstawieniu nastrój uroczysty, jubileuszowy. Główne role spoczywały w rękach pani Floriani i panów Sawickiego, Hussa i Fotygi. Partyę Zofii objęła p. Sawicka. Artystka posiada głos o wybitnie mezzosopranowem zabarwieniu, więc partya ta specyalnie jej odpowiadała. Z przyjemnością zaznaczamy tu, że czwartkowy występ p. Sawickiej wybredne zaspakajał wymogi. Reszta artystów, a także chóry zupełnie były na wysokości zadania. Specyalną wzmiankę musimy poświęcić pani Floriani, która wprost porywała swą grą i śpiewem publiczność. Sądzimy, że nie powiemy za wiele, jeżeli damy tu wyraz przekonaniu, że przedewszystkiem pani Floriani przyczyniła się do tego, że mogliśmy „Halkę“ widzieć 25 razy w stosunkowo krótkim czasie i zawsze przy wyprzedanej widowni.

Nakoniec należy z wielkiem uznaniem wspomnieć o sumiennej pracy benefisanta p. Langera. Cenimy w nim wybitną siłę muzyczną, dyrygenta, który potrafi z piasku bicz ukręcić. Kto porówna to, co nasza orkiestra produkowała na początku sezonu, z tem, co obecnie słyszymy, pozna, ile pracy, talentu i żelaznej wytrwałości było potrzeba, by takie rezultaty osiągnąć. Także znakomite wyćwiczenie chórów, które mogą się mierzyć z takimiż większych scen, jest zasługą dyrygenta. Przedewszystkiem zaś uszczknął p. Langer liść wawrzynu przez znakomite — jak na materyał, którym rozporządza — wypracowanie trudnej opery Humperdincka „Jaś i Małgosia“. Każdy, kto ma choć słabe pojęcie o wymogach, jakie Humperdinck stawia do orkiestry, przyzna, że dyrygent w tym przypadku wprost cudu dokazał. To też cieszyliśmy się szczerze, że publiczność tak tłumnie pospieszyła w czwartek do teatru, by złożyć zasłużony dowód uznania utalentowanemu muzykowi.

* * *

Pani Eleonora Królikowska wybrała na swój benefis „Preciozę“ Wolfa, okraszoną muzyką Karola Maryi Webera.

Stara ta sztuka romantyczna, przeplatana tańcami i śpiewami, nie zdołała



Eleonora Królikowska.

głębiej zainteresować widza. Przedstawienie jednak samo przybrało dzięki niezliczonym hołdom, jakie zewsząd składano pani Królikowskiej, charakter wielkiej uroczystości. Pokazało się dowodnie, jak żywemi sympatyami cieszy się zasłużona i powszechnie szanowana artystka sceny naszej. Wieńcom i bukietom nie było końca, grzmiące oklaski witały i żegnały znakomitą artystkę, która w roli starej cyganki dała dowody niepośledniego temperamentu i niepospolitego talentu odtwórczego. Rolę tytułową objęła p. Sznage i wywiązała się z zadania — jak zwykle — z wielkiem powodzeniem.

Na koniec podnieść należy znakomite popisy choreograficzne państwa Faliszewskich tak w „Halce“, jak w „Preciozie“.

Nie od rzeczy będzie też wspomnieć, że w sobotę 6 bm. będzie benefis reżysera dramatu p. Maryana Andruszewskiego. Czeka nas prawdziwa uczta artystyczna, gdyż zapowiedziana jest wspaniała szekspirowska tragedya „Hamlet“ z benefisantem w tytułowej roli. Wszystkim zwolennikom wielkiej klasycznej sztuki zwracamy uwagę na sobotnie przedstawienie. *R.*

Dział kobiecy.

Koczownicy.

Szalone tempo życia, wir spraw codziennych, borykanie się z przeciwnościami z dnia na dzień i warunki coraz trudniejsze uczyniły ze współczesnych ludzi pokolenie nerwowców, pozbawionych spokoju, wytrąconych z równowagi ducha.

Ten tylko się utrzyma na fali życia, kto zręcznie lawirować umie, ten zwycięża, kto najmniej ze sobą nosi różnorodnego balastu. Oto maksyma dzisiejszej mądrości życiowej. Czy słuszna? Odpowiedź na to teraz jest niemożliwą jeszcze. Być może, że istotnie zyskuje się na tem w walce życiowej jakieś przewagi, lecz jednocześnie traci się wiele rzeczy cennych, miłych sercu i niewątpliwie będących dorobkiem kulturalnym.

Węzły rodzinne zostały dzisiaj rozluźnione, ognisko domowe traci coraz bardziej cechy owej cichej przystani, trwałej i dającej nieraz prawdziwe ukojenie. Dzisiejsze pokolenie zmieniło się w prawdziwych koczowników, z lekkiem sercem porzucających jedne miejsca, by na krótko osiąść gdzieindziej, a potem znów dalej i dalej w pogoni za coraz lepszym kawałkiem chleba. A jakże często za złudą! Taki kierunek życia odbił się w sposób bardzo wyraźny na całem wewnętrznem urządzeniu naszych domów. Gdzież te dawniejsze solidne, pełne godności, ciężkie jesionowe lub dębowe meble, mające styl i smak, gdzież te biurka naszych dziadów, kunsztowne, z różnemi zakamarkami i pięknemi ozdobami, na które wysilała się myśl artysty-rzemieślnika, gdzież z dawniejszych jeszcze lat piękne „Ludwiki“ lub owe misterne szafeczki, z różnemi cackami, które istotnie były dziełem sztuki i prawdziwie smak estetyczny kształciły.

Wszystko to ustąpiło miejsca tandecie. Stare meble uważane, jako na

nic nie przydatne graty, zostały usunięte do dalszych pokoi, wyrzucone gdzieś na górę pod dach, gdzie jedzą je mole i ostatecznie niszczy kurz, lub sprzedano je za bezcen przygodnie temu, kto się nadarzył. Panowanie po nich wzięły w naszych domach meble klecone fabrycznie, na jeden szablon i bez żadnej artystycznej myśli. Wzrok na nich spoczywa obojętnie, nie nadają one żadnego specyalnego charakteru danemu domowi, bo bliźniaczo podobne znajdują się tuż obok u sąsiadów. To samo tandetnie polerowane drzewo, też same pluszowe obicia i ozdoby te same, bo je rzeźbiła jedna maszyna.

Obrzydliwe to, oczy się na nich nie zatrzymują, a sprawiają wrażenie śmiertelnej nudy. Znać, że urządzano dom bez myśli o tem, aby stworzyć gniazdo stałe, wiążące przyszłe pokolenie z miejscem urodzenia.

Tutaj właśnie w całej pełni znać żywot koczowniczy ludzi dzisiejszych. Wszystko ma charakter przejściowy, tymczasowy. Bo i po co wkładać w te urządzenia i pracę i miłość, skoro wiadomo, że te cztery ściany opuści się przy pierwszej lepszej sposobności bez żalu, bez jednego westchnienia. Dzieci rozlecą się po świecie, pójdą do innych miejsc, innych miast, a opuszczone mieszkanie zajmą nowi przybysze, którzy również w nim krótko bawić będą.

W parze z tem zaniedbaniem zewnętrznego urządzenia domu idzie i obniżenie atmosfery wewnętrznej, taki decydujący wywierającej wpływ na całe przyszłe życie młodego pokolenia. Obecnie wyrażenie „wychowanie domowe“ stało się prawie pustym dźwiękiem. Nic się przez to nie mówi. Ongi każdy dom miał swój tryb, swój własny obyczaj, jakieś własne osobliwości w urządzeniu codziennego życia, nadające mu cechę indywidualności, a później jako wspomnienie trwające u młodego pokolenia, które poszło na szeroki świat.

Dzisiaj nic z tego. Materyalizm, płytkość i jakiś pośpiech, bez końca zarówno w urządzeniu mieszkań, jak i w całej atmosferze domowej.

I gdzież tego przyczyna? Odpowiedzą owem utartem, szablonowem wyrażeniem. „Hm, trudno, wiek pary, wiek elektryczności. Trzeba się śpieszyć, bo nikt na nas nie zaczeka.“ Zasłaniamy się tem i usprawiedliwiamy, lecz wewnątrz sami dobrze czujemy, że to nieprawda. Przyczyna leży w naszym charakterze, który, wobec zmienionych warunków życia, utracił wiele ze swych dawnych zalet, lecz nowych nie zyskał. Koczowniczego trybu życia, zaniedbania atmosfery domowej tłomaczyć nie można rozwojem przemysłu, rozdrabnianiem ziemi (i co za tem idzie zanikiem dworów wiejskich), rozbudzoną przedsiębiorczością. Spojrzmy, co się dzieje w Anglii. Nasz przemysł wobec angielskiego jest niemowlęciem wobec olbrzyma, zamiast dworów szlacheckich, są tam drobne fermy (nie bierzemy pod uwagę nielicznych pałaców landlordów), gorączka życia i czynu panuje u wyspiarzy w stopniu nieskończenie wyższym, niż w naszym kraju, a jednak dla Anglika „mój dom“ — jest miejscem świętem. Jest to zacisze, oaza zamknięta w sobie, w której po całodziennej pracy szuka spoczynku i ukojenia. Pojęcie domu i ogniska rodzinnego, jako rzeczy świętych i nietykalnych, jest w społeczeństwie angielskiem wysoko rozwinięte i to właśnie dowodem kultury a zapewne i bardzo ważną przyczyną potęgi Anglii.

Musimy zatem i my stworzyć z powrotem „dom własny.“ Leży to w ręku kobiety. Ona powinna mu nadać tę cechę indywidualną, włożyć w urządzenie trochę własnej duszy i miłości, otoczyć opieką pozostałe pamiątki i wprowadzić do domu prawdziwą kulturę. To będzie najlepsza droga walki ze szkodliwem dla nas koczownictwem.

Przez usiłowania młodych artystów polskich do urządzeń domowych zaczyna przenikać prawdziwa sztuka, na swojskich osnuta motywach. Usiłowania te wszystkie Polki powinny poprzeć gorąco.

St. — „D. G.“

Z dziedziny hygieny.

O zapobieganiu nerwowości.

Nerwowe dzieci w pierwszym roku życia są zwykle wątłe, krzyczą dużo bez szczególniejszego powodu, drżą przy każdem niezwykłem dla nich wrażeniu i łatwo nawet mdleją. Wobec objawów ich podniecenia, starsi zwykle podrzucają je na rękach, albo bujają w wózku, który teraz po największej części zastępuje kołyskę; jeżeli sobie wyobrazimy, jakiego doświadczałby uczucia dorosły chory nerwowy, gdyby w ten sposób zwalczano jego rozdrażnienie, łatwo sobie wyobrazić można, jak korzystnem jest takie postępowanie dla dziecka, chociaż często rzeczywiście ucisza się ono z nadmiaru męczarni. Inne dzieci znów tem zdradzają swoją nerwowość, że zrywają się we śnie, niespokojne mają sny, inne znów blednął lub rumienią się byle czego. Do takich chorobliwych objawów należy również obawa niewinnych zupełnie stworzeń, ruchliwych zabawek, jak np. bąka, albo też burzy. Inne znów objawy pojawiają się u dzieci w wieku szkolnym.

Cóż czynić należy, ażeby nie dopuścić nerwowości u dzieci naszych?

Przedewszystkiem należy zostawiać w spokoju małe dzieci. Nie należy ich trząść i podrzucać i przerażać gwałtownemi wybuchami radości. Najlepszym tego dowodem, że małe dzieci zwykle wolą mężczyzn od kobiet; pochodzi to ztąd, że mężczyzni zwykle pozostawiają dzieci w spokoju, podczas kiedy panie mają zwyczaj obsypywać je całusami. Bardzo jest także rzeczą ważną, żeby dzieci nie ubierać zbyt ciepło, żeby temperatura pokoju nie przenosiła 15 stopni Reamura i woda na kąpiel nie była nigdy cieplejszą nad 26 stopni R. Byłoby również nierozsądnie, gdybyśmy w chłodniejszej wodzie dzieci kąpali, jak to się obecnie często zdarzyć może u zwolenników metody Kneipa. Przesada w tym kierunku zarówno źle wpływa na nerwy dziecinne. Dalej powinniśmy dzieci rozumnie odżywiać, żeby siły ich odpowiadały wymaganiom ich fizycznego i umysłowego rozwoju... Powinniśmy troszczyć się o to, aby mogły się dostatecznie wysypiać w spokojnym, dobrze przewietrzonym pokoju. Przed rozpoczęciem nauki szkolnej, kiedy dziecko już uczy się i pracuje umysłowo i fizycznie, bardzo jest korzystnem, aby w dzień godzinę leżało; należałoby tego przestrzegać i w czasie nauki szkolnej szczególniej w lecie, kiedy lekcye wcześnie się zaczynają, dziecko zaś z powodu miłego chłodu wieczornego nie radeby wcześnie iść spać. Trzeba się troszczyć, jeżeli to możliwe, aby odrabiały swoje zadania w spokoju, nie tam np. gdzie się inne dzieci bawią, gdzie szyje się na maszynie, albo też dużo osób przechodzi.

Wielkiej jest wagi, aby rekreacye nie były wypełnione męczącemi lub też podniecającemi zabawami, albo przedwcześnie rozpoczętemi lekcyami muzyki, lub też jak u dziewcząt bywa, różnemi zbytkownemi robótkami. Ważnem jest dla prawidłowego odżywiania, aby jedzenie spożywane było o jednej ściśle oznaczonej godzinie w niezbyt długich odstępach, najmniej pięć razy na dzień i zwyczaj ten powinien utrzymywać się w czasie szkolnym. U dzieci starszych nie przedstawia to już trudności, ale w pierwszych latach uczęszczania do szkoły dzieci nie jedzą najczęściej drugiego śniadania w czasie pauzy, gdyż mają między sobą dużo do mówienia, albo też przygotowują jeszcze coś na przyszłą godzinę. Byłoby

zatem pożądanem, aby nauczyciele klas niższych zwracali na to uwagę, żeby dzieci w czasie pauzy zjadły koniecznie przyniesione przez siebie zapasy. Bardzo jest nagannem, jeżeli nauczyciele nie kończą punktualnie lekcyi i tem samem skracają uczniom pauzę, albo też jeżeli uczniom w czasie przerwy między lekcyami niewolno jest poruszać się i biegać swobodnie, lub bawić się. Jeżeli dorośli po jednogodzinnej pracy umysłowej nieprzeparte uczuwają pragnienie ulżenia sobie chociażby przejściem się po pokoju, to trzeba chyba dozwolić na wytchnienie łatwiej jeszcze od nas wyczerpującym się dzieciom. Często przeciwstawiamy wymaganiom hygieny argument, że dawniej nie zachowywano jej przepisów, a jednak dzieci i młodzież dobrze się mieli. Pominąwszy okoliczność, że jest zupełnie nierozsądnem odrzucać pożyteczną nowość, dla tego, że jej dawniej nie znano, możemy jeszcze przeciwstawić podobnym zarzutom, że cały świat dziś się skarży na wzmagającą się nerwowość, na szalony pośpiech z jakim żyjemy, na dążność zagłuszania wewnętrznego niepokoju środkami podniecającemi; czyż więc nie dosyć mamy powodów ochraniać przynajmniej młodzież naszą od wszystkiego tego, co ją do tak rozpaczliwego stanu doprowadzićby mogło?

Wszystkim jest wiadomo, że od szeregu lat kwestya przeciążenia nauką dzieci szkolnych wiele sprawia hałasu. Dowodzenie jednego z niemieckich psychiatrów, jakoby przeciążenie w szkole sprowadzało w młodości zupełne umysłowe wyczerpanie, a nawet choroby umysłowe zostały uznane jako bezpodstawne. Podobnie ciężkie chorobowe objawy wtedy tylko występują, jeżeli dziecko ma już skłonność dziedziczną do choroby umysłowej, wówczas występuje ona w wieku młodzieńczym więcej z zewnętrznych, niż wewnętrznych przyczyn. Winnem tu jest także nadużywanie spirytualii przez młodzież szkolną — stało się już ono niejednokrotnie przyczyną występującego w niej rozstroju umysłowego.

Abyśmy po szczęśliwie przebytych latach szkolnych ustrzedz się mogli od nerwowości, należy przedewszystkiem żyć w możliwym spokoju i równowadze. Rozpoczynając zajęcia nasze o wczesnej i zawsze tejże samej godzinie, możemy pracować spokojnie, bez wyczerpującego pośpiechu, z przerwami przeznaczonemi na odpoczynek. I w rozrywkach naszych i ćwiczeniach fizycznych powinniśmy wszelkiego unikać nadmiaru. Chociaż spacery piesze, jazda na rowerze, wiosłowanie, są rzeczą bardzo zdrową, to nadmierne ich użycie może być nader dla zdrowia zgubne. Właśnie ludzie nerwowi często nadużywają ruchu, bo przykry nastrój ich wyczerpanego organizmu usposabia do chorobliwego podniecenia. Często znów w przekonaniu, że w ten sposób zażegnywają swoje dolegliwości, nerwowo chorzy uważają jako przeciwdziałanie umysłowej pracy, jaka ich poprzednio wyczerpała — fizyczne następnie przepracowanie. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że wszelka działalność tak fizyczna jak umysłowa z jednego pochodzi źródła, że system nerwowy pracuje przy obu, chociaż w odmienny sposób, zrozumiemy łatwo, że nadmiar wysiłku fizycznego jest także szkodliwy dla chorych nerwowych. Ćwiczenia fizyczne są tu o tyle tylko pożądane, że odwodzą od pracy umysłowej i wywołują szybszą przemianę materyi, nb. jeżeli po nich zupełnie odpocząć możemy.

Przedewszystkiem, jak u dorosłych, tak u dzieci zwracać należy uwagę na regularne i posilne odżywianie. Herbatę i kawę pić można w umiarkowanej ilości; podniecające ich własności dobrze wpływają na nerwy, a tylko nadmierne ich użycie jest tu szkodliwem. W wysokim natomiast stopniu zgubnemi są dla nerwowych wszelkie napoje alkoholowe. Jest to ciężkiem wykroczeniem zalecać anemicznym porter i inne mocne piwa dla wzmocnienia ich apetytu i jakoby środek nasenny. Przemijające pobudzenie, jakie spirytus sprowadza, chwilowo przynosi ulgę choremu, ale przeszkadza temu, co mu jest najpotrzebniejsze, tj. rzeczywistemu uzdrowieniu jego nerwów przez najodpowiedniejsze hygieniczne zachowanie. Alkohol jest szczególniej też szkodliwy dla młodzieży, która go w najmniejszych nawet ilościach używać nie powinna, ażeby groźny nieprzyjaciel pod maską bezbronnego i dobrotliwego przyjaciela nie mógł się wcisnąć żadną furtką. Prawdziwie zbawiennem jest natomiast przebywanie wśród przyrody, zupełny wypoczynek, życie towarzyskie bez zbytniego jednak utrudzenia i podniecenia, rozsądnie wyzyskane wakacye, szczęśliwe pożycie rodzinne, niezbyt poważna i skomplikowana muzyka, podczas kiedy niezmiernie drażniące utwory sztuki nowoczesnej, choć wiele przedstawiają rozkoszy dla znawcy, wiele jednak zużywają siły nerwowej. Wprost niebezpiecznemi są zbyt męczące rozrywki, zalecane chorym jakoby w celu odwrócenia ich myśli od choroby. Dlatego też podróże stosować należy u chorych nerwowych tylko z wielką ostrożnością.

* * *

Co to jest gorączka?

Gorączka dla lekarza jest stanem chorobowym, objawiającym się przez podniesienie ciepłoty ciała i różne dodatkowe objawy, których zbiór nazywa się przebiegiem gorączki.

Dla zwyczajnych atoli śmiertelników, nie mających pod ręką termometru, właśnie owe objawy dodatkowe stanowią cechę gorączki. Towarzyszy ona różnym chorobom. Podczas gdy u człowieka zdrowego ciepłota ciała wynosi 37° C, to w czasie gorączki wynosi więcej, a w wypadkach silnej gorączki dochodzi do 40° C lub nawet więcej niż 41° C. Objawia się brakiem łaknienia czyli apetytu, zwiększonem pragnieniem, osłabieniem, bolem głowy, przyspieszonem tętnem, przyspieszonem oddychaniem. Nieraz towarzyszą jej dreszcze, połączone z wstrząsaniem lub drzeniem ciała i kłapaniem zębami, zwłaszcza w samem początku gorączki.

Gorączka jest bardzo poważnym objawem chorobowym. Wyższe stopnie gorączki są połączone z majaczeniem czyli mówieniem od rzeczy, albo nawet z utratą przytomności. Chory gorączkujący powinien koniecznie leżeć w łóżku (choćby nie chciał się „poddawać“ chorobie), gdyż wszelkie natężanie i przezwyciężanie się tylko pogorsza chorobę. Nadto w czasie gorączki powinno się przestrzegać ścisłej dyety, to znaczy, że chory nie powinien przyjmować pokarmów z wyjątkiem płynnych n. p. rosołu, herbaty; chory bowiem w czasie gorączki nie może strawić pokarmów i nabawia się wskutek jedzenia nowej jeszcze choroby t. j. niestrawności i naraża się na największe niebezpieczeństwo. Nigdy zaś nie zaszkodzi jeżeli chory gorączkujący zażyje leku przeczyszczającego, n. p. olejku rycynusowego. Już samo wypróżnienie kiszek sprawia nieraz znaczną ulgę w cierpieniu.

Niema wznioślejszego i świętszego zarazem przeznaczenia dla kobiety nad miłość. Ona jest jej uosobieniem. Biada niewieście, gdy to najwyższe swoje zadanie opuszcza, skąd szle światu blask a sobie ozdobę wszystką, a zstępuje do próżności i kokieteryi. Z gwiazdy stałej zamienia się w planetę, ze słońca w ziemię, z ciała świecącego własnymi promieniami światła do ciała ciemnego, świecącego tylko pożyczanem światłem; z niedoścignionych teleskopem wysokości schodzi do warstw niższych w przestrzeni świata, gdzie oko szkłem uzbrojone rozpoznaje w nich wszystko, aż do gór i nizin.

Karol Libelt.

Pogadanka naukowa.

Człowiek kopalny.

Przed paru tygodniami na posiedzeniu paryskiej akademii nauk, dyrektor „Museum d'Histoire Naturelle,“ profesor Edmund Perrier, miał odczyt o najnowszem odkryciu antropologicznem, dokonanem przez dwóch księży francuskich, Bouissony i Bardon. Odkryli oni w departamencie Correze, w południowo-zachodniej Francyi, szkielet człowieka kopalnego z epoki najdawniejszej. Profesor Marcelin Boulle zajął się zbadaniem szkieletu i po dłuższych studyach porównawczych uznał, że należy on do epoki „mamuta,“ t. zw. epoki chłodu, która nastała po epoce słoni, nosorożców, małp i hipopotamów na kontynencie Europy.

Najbardziej interesującą częścią szkieletu jest czaszka. Odznacza się ona znaczną wielkością, szczególniej w stosunku do niewielkiego szkieletu, który w całej swej długości nie przenosi 1.6 metra. Czaszka posiada wiele cech czaszki małpiej: ten sam ciężar gatunkowy kości, tak samo rozwinięte oczodoły, nos bardzo szeroki, twarz wysunięta, podbródka niema, dolna szczęka silnie rozwinięta i t. d. Pomimo to nie ulega wątpliwości, że jest to czaszka człowieka, ponieważ z wielu względów stoi ona wyżej od czaszki szympansa, najbardziej rozwiniętej ze wszystkich małp. Zarazem jednak czaszka ta stoi znacznie niżej od znanych obecnie typów czaszki ludzkiej. Człowiek kopalny z Correze jest blizkim, a zarazem dalekim od antropoidów, małpoludzi. Prof. Perrier przypuszcza, iż chodził on częściej na czworaku, aniżeli w postawie wzniesionej. Ustrój kości twarzowych jest taki, że uniemożliwia zmianę wyrazu twarzy. Z tego też względu człowiek kopalny prawdopodobnie nigdy się nie śmiał ani uśmiechał.

Określić dokładnie, do jakiego okresu należy znaleziony szkielet — niepodobna. Prof. Boulle przypuszcza, iż liczy on conajmniej 20,000 lat.

Dzwony na głuchych... O! błogosławiony,
Komu Pan zostać swem echem pozwoli!
Dzwonić na sennych, budzić czyn uśpiony,
Na samolubów, na ludzi złej woli,
Rozbić w przestrzeni siłą kołatania
Chmurę przesądów, co słońce zasłania.
Władysław Syrokomla.

Nowe książki i treść pism.

Dr. Kazimierz Zimmermann: Koalicya Robotnika Rolnego z szczególnem uwzględnieniem rozwoju historycznego prawa koalicyi robotnika w ogólności. Poznań 1909. Nakład autora. Czcionkami Drukarni i księgarni św. Wojciecha; stron 62 wielkiego formatu.

Książkę tę polecamy wszystkim, którzy się zajmują kwestyą społeczną. Napisana jest jasno, zwięźle, treściwie i bezstronnie. Wynik badań jest dla sprawy koalicyi robotnika rolnego przychylny. Dziełko to powinno się znaleść w rękach każdego w przyszłość patrzącego ziemianina. Podaje ono dużo materyału do dyskusyi i prostuje wiele mylnych, a zakorzenionych zapatrywań społecznych.

Treść następująca: Słowo wstępne. — Zapatrywania na kwestyę koalcyi robotnika rolnego w ziemiaństwie naszem i warstwach robotniczych. — Określenie pojęcia koalicyi. — W jakim celu powstaje koalicya robotnika. — Rozwój pojęć o uprawnieniu koalicyi robotnika w opinii rządów. — Nauka ekonomii politycznej a prawo koalicyi. — Rozwój historyczny prawa koal. rob. — Obecny stan prawny i prognoza koalicyi rob. rolnego w Prusiech. — Strejki rolne w Galicyi Wschodniej i w Parmie. — Względy przemawiające za koal. rob. rolnego i przeciw niej. Środki zapobiegawcze ujemnym jej skutkom.

NASZE RYCINY.

Karta albumowa.

W niniejszym numerze podajemy obiecany zeszłego tygodnia cykl rysunków Stefana Sonnewendta. Z technicznych powodów nie dało się to prędzej uskutecznić. Po bliższe szczegóły odsyłamy łaskawego czytelnika do artykułu zamieszczonego w nr. 9. „Pracy“ p. t. „Bal prasy“. Sądzimy, że cykl ten zainteresuje czytelników naszych. Jeszcze raz nadmieniamy, że komplet rysunków Sonnewendta można oglądać bez opłaty wstępu w Domu Towarowym p. Ignatowicza. Tamże nabywać można bądź oryginały same, bądź fotografie poszczególnych rysunków i fotografie zbiorowe, z których jedna zawiera podobizny literatów, druga takież artystów.

Wiece, zjazdy, wystawy, zebrania.

* **Wystawa łowiecka.** Staraniem wydziału Towarzystwa łowieckiego będziemy mieli w Poznaniu pierwszą wystawę łowiecką połączoną z dziełami sztuki oraz z wyrobami przemysłu. Wystawa w sali ogrodu zoologicznego potrwa od 6 do włącznie niedzieli 14 marca. Otwarcie nastąpi w najbliższą sobotę o 11 przed południem. Wystawę będzie można zwiedzać od 9 rano aż do zmierzchu. Bilety po 1 marce od osoby. W niedzielę i środę bilet taki uprawnia do wstępu na koncert i do zwierzyńca. Bilety na cały czas wystawy kosztują 3 marki. Nabywać je można w składzie pp. K. Ignatowicza (dom towarowy w Starym Rynku), Wł. Mroczkiewicza (skład cygar przy ulicy Rycerskiej) oraz przy kasie wystawy.

* *

* **Drezno.** W niedzielę dnia 7-go marca urządza Tow. Przemysłowców w sali swych posiedzeń Schreibergasse 12 wieczornicę ku uczczeniu pamięci znanego pieśniarza **Maurycego Gosławskiego** jako 75-tą rocznicę zgonu jego.

Szanownych rodaków przebywających w Dreźnie i okolicy pozwalamy sobie jaknajuprzejmiej prosić o łaskawy liczny współudział.

Początek o godzinie w pół ósmej.

Zarząd.

Materyały do historyi Miłosławia i okolicy.

Zestawił
Filip Skoraczewski,
honorowy obywatel miasta Miłosławia.

3)

Podczas walki bratniej i po niej tworzą się zwykle bandy włóczęgów i rozbójników, którzy, wyzyskując ustanie wszelkiego prawa, wszelkiej karności, ograbiają, a nawet mordują spokojnych miast i wsi mieszkańców.

Po Władysławie drugim objął r. 1149 zwierzchnictwo nad braćmi, a raczej naczelny zarząd kraju Bolesław Kędzierzawy. I za tegoż rządów nieszczęścia prześladowały Polskę, a więc i Miłosław. Najechał teraz ciągłemi walkami znękaną Polskę pod pozorem ujęcia się za wypędzonym z kraju Władysławem II. cesarz niemiecki, Fryderyk Rudobrody. Niepomyślnie także wojował Kędzierzawy z Prusakami. Przegrał z nimi bitwę pod Osą, w której poległ młodszy brat jego, Henryk.

Po śmierci Kędzierzawego wstąpił na tron książęcy Mieczysław Stary. Książę ten uznał potrzebę zaprowadzenia w kraju ładu. Wystąpił ostro przeciw bandytom, opryszkom i wszelkim wichrzycielom. Starał się ukrócić butę możnych panów, którzy sobie prawa samodzierczych królów przywłaszczali, ale przez ściąganie bardzo wielkich podatków naraził się biskupowi krakowskiemu księdzu Gedeonowi i całej ludności, dla czego, nic nie zdziaławszy, z kraju uchodzić musiał.

Kazimierz Sprawiedliwy ułożył r. 1180 w Łęczycy pierwsze polskie prawo. Dotąd rządzono się prawem ogólnosłowiańskiem. Przy układaniu prawa w Łęczycy byli głównie księża czynnymi, o czem prawo samo świadczy. Opiewało, że pod karą klątwy nie wolno kmieciom zabierać zboża, nie wolno grabić dóbr kościelnych. Jeżeli przecież w ten sposób ograniczono swawolę niektórych magnatów, to też z drugiej strony ograniczono w pewnej części samodzierczą władzę księcia, przydając mu senat jako radę doradczą. Panowanie tego księcia dodatnio na rozwój miast i wsi wpływało, zwłaszcza że jego walki z Prusakami, Jadźwingami i Rusinami krótko trwały i szczęśliwie się zakończyły.

Za czasów Leszka Białego brat jego Konrad, książę mazowiecki, sprowadził do Polski Krzyżaków i oddał im w posiadanie ziemię chełmińską z poleceniem, by jego ziemię przed sąsiedniemi poganami bronili. Czyny tego zaborczego, niewdzięcznego rycerstwa ciągną się, jako nić krwawa przez dzieje nasze. Przez Krzyżaków cierpiała i cierpi jeszcze Polska cała, cierpiał nieraz, mieczem i ogniem nawiedzony, Miłosław, dla czego tu o ich sprowadzeniu do nas wspominamy.

Długie rządy Bolesława V, Wstydliwego, a raczej Niedołężnego (1227—1270) nie przyczyniły się bynajmniej do rozrostu miast naszych. Za jego rządów po raz pierwszy wtargnęli do Polski r. 1241 Tatarzy. Kierunek ich pochodu znaczył się zgliszczami i popiołami zburzonych wsi i miasteczek. Młodszą ludność, a zwłaszcza dziewczyny, zabierali w jasyr. Mniejszą przecież, jak Krzyżacy, wyrządzali krzywdę, bo rabowali, zabierali z sobą, co się zabrać dało i niszczyli osady i zasiewy, ale nie przywłaszczali sobie naszej ziemi.

Za Leszka Czarnego powtórnie w roku 1287, a w roku 1294 po raz trzeci naszli Polskę Tatarzy. W którym z tych napadów nawiedzili Miłosław, trudno dziś sprawdzić, że jednak tu, a przynajmniej w Białem Piątkowie tuż pod Miłosławiem byli, a prawdopodobnie nawet obozowali, albo też bitwę stoczyli, świadczy ich cmentarzysko, przez ś. p. Kazimierza Melewskiego z Białego Piątkowa odkryte. Wydobyto tam przy kopaniu żwiru kilka kościotrupów, a ukośne, jak Melewski twierdził, otwory do ócz wyraźnie rasę mongolską znamionowały. W jednym z tych grobów, prawdopodobnie jakiegoś wojskowego dostojnika, znaleziono szklane i agatowe korale, oraz żelazny, złotem nasadzany buzdrygan. Starożytności te przekazał Melewski Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Gdyby tu tylko jeńcy, albo osadnicy tatarscy spoczywali, nie byłoby przy nich złotem nasadzonego buzdrygana. Po Tatarach grasowały w Polsce i okrywały ją czarnym całunem głód i epidemie, ale ziemi nie spotykał los Braniborów, Łużyc, Pomorza, Prus Wschodnich, a następnie całej Polski.

Przemysław, który na tron wstąpił i zaraz się na króla w r. 1295 koronować kazał, miał chęć i siłę po temu, by nietylko znów wszystkie rozdzielone części Polski w jedną potężną całość złączyć, ale i zupełny porządek w kraju zaprowadzić i możnowładztwo niektórych potężnych rodów magnackich przełamać. Chęć przecież tę w roku 1296 śmiercią w Rogoźnie przypłacił. Zamordowali go tamże margrabiowie broniborscy, obecnie już brandenburskimi zwani, podobno przy pomocy spodlonych tym czynem Nałęczów i Zarębów.

Panowanie Wacława, króla czeskiego, który się za sprawą sfałszowanego po Leszku Czarnym testamentu i przy pomocy niektórych panów wielkopolskich na tron dostał, trwało tylko lat 5 (1300—1305), ale wielkie Polsce zadało rany. Wacław, zamiast bronić kraju przeciw najezdcom, trudził się tylko ściganiem Łokietka i zabieraniem jego włości. Gdy zaś zagrabił, co się dało, uciekł, morowem powietrzem wystraszony, do Pragi, Polskę na łup swoim namiestnikom zostawiając. Ci zaś dalej niecne dzieło swego mocodawcy prowadząc, wywoływali walki domowe, które Wielkopolskę, a więc i Miłosław rujnowały. Obecnie osiadł na tronie po raz trzeci, ale teraz już trwale, Władysław Łokietek. Mały ten ciałem, lecz wielki duchem, wielki miłością ojczyzny, wielki poświęcaniem się i czynami monarcha, dokonał chwalebnie rozpoczętego przez Przemysława dzieła. Uczynił Polskę znów na wewnątrz i na zewnątrz jednolitą i silną. Wszelako, podczas jego nieodzownych, koniecznych walk wiele znów miast, a pomiędzy niemi i Miłosław, jak to wykażemy, podupadło, zubożało.

Okolice Miłosławia, a zwłaszcza Pyzdry, Komorze i Kasztelania Ostrowska, dzisiejszy Żerków, wielką w dziejach Łokietka odgrywały rolę. Podarowanie Pyzdrom kilku wsi, nie było wynikiem rozrzutności, ale dowodem wdzięczności szlachetnego króla. Gdy bowiem niektórzy panowie wielkopolscy sprzeniewierzali się swym królom i książętom, chcąc ponad tychże wyrość, Pyzdry, wielkie i silnie wów-

czas obwarowane miasto królewskie, jak to ks. Łukaszewicz wykazał, pozostało zawsze wiernem i broniło ich zawsze. Tutaj znajdował ścigany Łokietek oparcie i pomoc, choć za to spadały na uczciwe miasto nieszczęścia i klęski. Często w Pyzdrach przebywając, poznał Łokietek, rzecz naturalna, Miłosław, a przynajmniej tutejszego dziedzica. Zaufał mu i polubił go, dla czego go na świadka swych dekretów i rozporządzeń do Pyzdr powoływał. Tej to okoliczności zawdzięczamy pierwszą, na dokumencie opartą o Miłosławiu wzmiankę. Dnia 19 sierpnia 1314 roku nadaje król Łokietek obywatelstwu pyzdrskiemu na własność za czynnie mu okazywaną wierność i za przyrzeczenia na przyszłość wsie Rataje, Pietrzyków i Cieśle. Dokument ten bliżej oznaczymy w artykuliku: „Dziedzice“.

Gdy się Łokietek dowodnie przekonał, że magnaci wielkopolscy przeciw niemu intrygują, przysłał tu dotąd jako namiestnika swego syna Kazimierza, który sobie następnie jako król na przydomek „wielki“ zasłużył. Równocześnie uważał się tu za namiestnika królewskiego Wincenty Szamotulski, herbu Nałęcz (z owych Nałęczów, co to Brandenburczykom króla Przemysława zamordować pomogli). Kazimierz bardzo oględnie i względnie tu swe rządy sprawował i Szamotulskiemu prawie zupełnie, co mu się tylko podobało, robić pozwalał, tenże jednak szlachtę wielkopolską przeciw synowi królewskiemu podburzał i do Łokietka szorstko się i butnie o odwołanie z Wielkopolski Kazimierza odzywał. Kazimierz, unikając zaburzeń w kraju, umykał mu się z drogi, bardzo często z Poznania do Pyzdr i do Komorza się wynosząc, gdzie mu ówczesny dziedzic, hrabia Drogosław Skórzewski, murowaną kamienicę pobudował. Kamienica ta miała jako śpichlerz aż do ostatnich przetrwać czasów, a miał ją dopiero Ritsch, dawniejszy trębacz uliczny, który się niedługo tytułem właściciela Komorza cieszył, przed czterdziestu laty rozebrać, by z jej cegieł i kamieni gorzelnią podnieść. Szamotulski pienił się z gniewu na Łokietka, że syna namiestnikiem Wielkopolski pozostawił, a szatańską zemstą nawiedziony, udał się z licznym pocztem szlachty do Krzyżaków, by z nimi Łokietka zawojować i Polskę spustoszyć. Że zaś część znaczna tych bolesnych wypadków w okolicy Miłosławia się rozegrała, pozwolimy sobie z dzieła ks. Łukaszewicza, który z znajdującego się swego czasu w bibliotece w Komorzu rękopisu korzystał, bardzo ważny, Miłosławia i okolicy dotyczący, ustęp przytoczyć:

„.... Jak Wincenty, tak i pułki jego zażądały od mistrza (krzyżaków) wydania rozkazu do jak najszybszego na Polskę pochodu, co też tenże spełnił bez ociągania się, a przydawszy Szamotulskim kilka rot krzyżackich i przybrawszy nawet Nałęczów w białe płaszcze krzyżackie, wyprawił przedewszystkiem pana Wincentego na przeległe Kujawy. Ani turek, ani tatar nie wtargnął do Polski z taką wściekłością i krwi ludzkiej pragnieniem, jak Wincenty ze zgrają łotrów i rozbójników swoich. W okamgnieniu pojawiają się na niebie łuny i wijące się w górę czarne dymu kłęby, dały znać Kujawiakom, że wróg okrutny i srogi wtargnął do ich ziemi i że pastwi się nad bezbronnymi; pali, niszczy, zabija. Zdrajcy zwrócili się przedewszystkiem przeciw dobrom królewskim i posiadłościom arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupa poznańskiego i przeciw włościom tych obywateli, których za przeciwników swoich uważali.

Pomijając wiele wsi i miast, jakie w pochodzie swoim z Kujaw do Wielkopolski w popiół i perzynę zamienili, spalili oni Słupcę, własność biskupa poznańskiego, a wiedząc dobrze, że królewicz Kaźmierz w Pyzdrach, albo w sąsiednim Komorzu najczęściej przebywa, zwrócili kroki swoje na Pyzdry, z tem mocnem postanowieniem, że albo Kaźmierza żywcem dostaną, albo go trupem położą. Miasto Pyzdry było wprawdzie obronne i miało załogę, lecz ta nie wystarczała do odparcia niespodziewanego napadu bardzo licznych najezdników. Po słabym więc oporze zdobywają krzyżacy miasto, łupią je, mieszkańców jego bez względu na płeć i wiek w pień wycinają i miasto na wszystkich rogach zapalają w tem przekonaniu, że wśród tysięcy ludzi ręką ich pobitych znajdzie się także Kaźmierz. Tymczasem królewicza już tam nie było; uszedł on szczęśliwie z Pyzdr manowcami przez pola i lasy do pobliskiego Komorza i stąd z Drogosławem puścił się jak najśpieszniej do grodu Ostrowa. Już w drodze ku grodowi napotkał Kaźmierz, dzielną jazdę Ostrowską i z prawej strony w lesie snującą się piechotę, jak niemniej liczny zastęp włościan z Komorza i okolicznych wsi, którzy po wyprawieniu żon, dzieci i dobytku swojego w dalszą bezpieczną stronę ku Kretkowu i Ostrowu, uzbrojeni w widły, siekiery, drągi i kosy schronili się także do lasów Komorza i Przybysławia i tu postanowili nie pozwolić się wziąć jak barany krzyżakom, lecz bronić się do upadłego, i albo zginąć chwalebnie, albo zwyciężyć.

Ledwo co królewicz przybył do Ostrowa, aliści po wymianie z kasztelanem kilku słów i wydaniu mu odpowiednich poleceń, puścił się zaraz bez przeprzęgu i bez osłony wojskowej w dalszą drogę na Środę do Poznania.

Zanim królewicz Kaźmierz przybył do Ostrowa i zanim obaczył się i rozmówił z kasztelanem, aliści wzmagający się pożar Pyzdr stawił już cały obóz ostrowski na nogi. Przybyli też na czaty i zwiady co dzień wyprawieni jeźdzcy i oznajmili kasztelanowi, że nieznany i niewidziany dotąd u nas nieprzyjaciel w białe przystrojony płaszcze napadł na Pyzdry i że on niewątpliwie sprawcą jest pożaru miasta. Kasztelan postanowił spotkać się z tym nieprzyjacielem na otwartem polu i dla tego zostawiwszy tylko tyle żołnierza, ile potrzeba było do zabezpieczenia grodu, zebrawszy wszystkie siły swoje i rozdzieliwszy je na dwie części, na jazdę i piechotę i pospolite ruszenie które przyłączył do piechoty, chociaż osobne naznaczył stanowsko, wyruszył z Ostrowa pod osłoną nocy ku lasom komorskim i przybysławskim i tam w nich się rozłożył. Mojkowi zalecił, aby, spotkawszy nieprzyjaciela żadnej bitwy z nim nie zwodził, lecz napadnięty przez niego, udając ucieczkę, aby się cofał i ponęcił go za sobą w otwarte pole pomiędzy lasem Komorowskim i Przybysławskim w pobliżu dróg rozstajnych. Niedługo wielka łuna na niebie przyświecać zaczęła naszym w ich pochodzie na naznaczone stanowiska i dała uczuć całą grozę niebezpieczeństwa, że nieprzyjaciela mają tuż przed sobą.

Krzyżacy z Szamotulskim po spaleniu i złupieniu Pyzdr, dowiedziawszy się, że Kazimierz uszedł z nich szczęśliwie, wyprawili za nim w pogoń 400 rajtarów wraz z Szamotulskimi do pobliskiego Komorza, gdzie go się już napewno pochwycić spodziewali. O! cóżby to była dla nich za zdobycz ten pojmany królewicz! Jakiegożby oni za takiego jeńca w tym opłakanym dla Polski czasie nie byli się domagali okupu od znękanego króla Władysława i czegóżby na nim nie byli wymogli?!

Tymczasem i tu także nie znaleźli Kazimierza. Dwór nawet cały zastali pusty, bo wszystko z obawy o życie swoje wyniosło się stąd i pokryło w głębi lasu; wzięli się więc do ulubionego rzemiosła, złupili dwór i zabrali z sobą wszystko to, co tylko unieść mogli; głównie rzucili się na śpiżarnią, pełną najrozmaitszego pożywienia i na sklepy, mieszczące w sobie beczki z piwem, miodem i wódką. Zapaliwszy potem na czterech rogach Komorze, rozłożyli się opodal wsi obozem i zaczęli jeść i pić aż do przesytu. Jaka dla nich pociecha, jeszcze nie wytrzeźwieli z krwawego bankietu pyzdrskiego, a tu Szamotulscy, którzy ich w te strony poprowadzili, zgotowali im drugą nową kozaczą pohulankę, w której wszyscy tak bardzo uraczyć się mogli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z cyklu rysunków t. zw. „portrait une characteristique“

Stefana Sonnewendta.



Kazimierz Puffke,
naczelny red. „Dzien. Pozn.“



Karol Sczaniecki.



Dr. Maryan Seyda,
naczelny red. „Kuryera Pozn.“



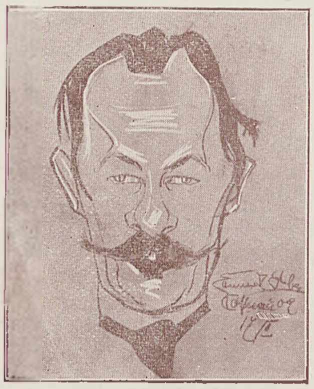
Stefan Chociszewski,
naczelny red „Postępu.“



Bronisław Ruczyński,
naczelny redaktor „Pracy.“



Ks. Patron Piotr Wawrzyniak.



Bernard Milski,
wyd. i red. „Gońca Wielkop.“



Ks. Szambelan Józef Kłos



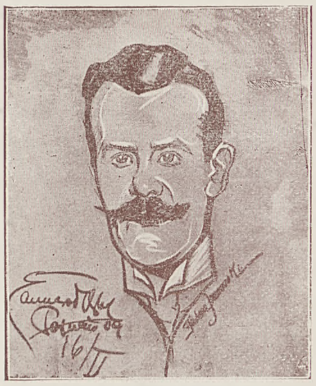
Ks. kan. Dr. Zimmermann



Dr. Roman Leitgeber,
redaktor „Kuryera Pozn.“



Józef Kościelski.



Dr. Tadeusz Jaworski.
(Acer.)



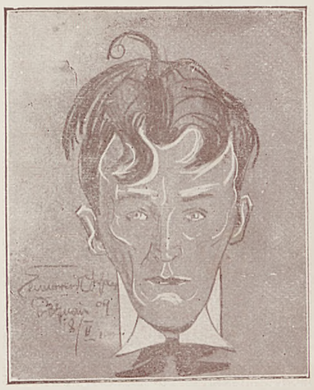
Bolesław Rakowski,
redaktor „Pracy.“



Konstanty Kościński,
redaktor „Dziennika Pozn.“



Stanisław Wegner,
literat.



Stefan Sonnewendt,
malarz-artysta.

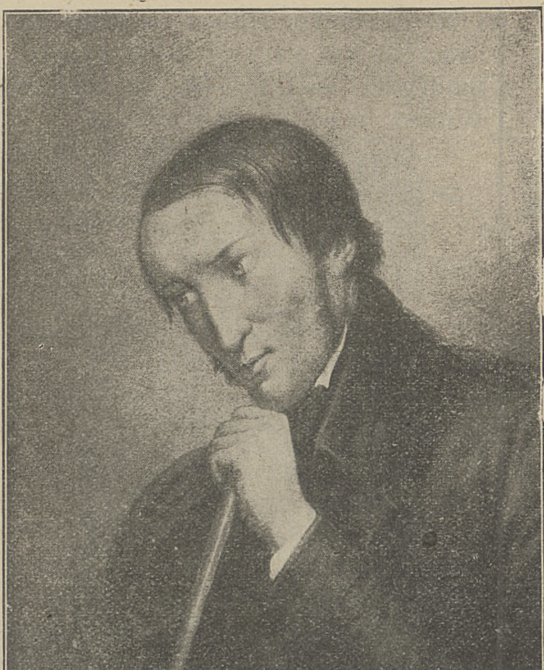
Konstanty Kościński.

Towarzystwo Pomocy Naukowej
imienia Karola Marcinkowskiego.

W powodzi niemieckiej literatury antypolskiej, z której utworzyć możnaby już wielką bibliotekę, nie ma zgoła publikacyi niepotrącającej o znane nasze Towarzystwo Pomocy Naukowej. Przytaczane przez wrogą nam prasę fakta są częstokroć nietylko tendencyjnie przekręcone, ale i do wysokiego stopnia przesadzone. Chociaż „Towarzystwo Marcinkowskiego“ już dłużej niż lat 50 istnieje, to jednak najgłówniejsza jego działalność przypada na ostatnie pół wieku. Ztąd też w przeglądzie dobytku naszego z czasu tego należy się ważnej tej instytucyi osobne wspomnienie.

Już r. 1841 dnia 19 kwietnia zszeregowała się za główną inicyatywą Karola Marcinkowskiego w Poznaniu pewna liczba wybitnych Polaków Wielkiego Księstwa Poznańskiego w tym celu, by utworzyć Towarzystwo wspierania uczącej się młodzieży. Czasy późniejsze okazały, jak zbawienną była ta myśl.

Naczelny prezydent Wielkiego Księstwa Poznańskiego v. Flottwell, znany z swego antypolskiego memoryału, nie stawiał Towarzystwu żadnych zapór, a następca jego, v. Arnim, potwierdził reskryptem z dnia 21 września 1841 r. ustawy, które do dziś bez zmiany znaczniejszej się utrzymały. Z postawy tych dygnitarzy pruskich wnoszono wtedy, iż rząd przychylny jest temu Towarzystwu, a w mniemaniu takiem utwierdziło się społeczeństwo tembardziej, ile że ministrowie spraw wewnętrznych i oświaty po przesłaniu im rocznego sprawozdania wyraźnie uznali pożyteczną i zbawienną działalność Towarzystwa, a generalny pocztmistrz Nagler nawet tegoż samego tj. r. 1841 nadał Towarzystwu wolność portoryi na obręb Wielkiego Księstwa Poznańskiego, którym to przywilejem posługiwano się mniej więcej do roku 1861. Szczególnych względów mogło się Towarzystwo przecież spodziewać, bo cel jego był jasny, a zmierzał jedynie do tego, by wspierać materyalnie kształcącą się niezamożną młodzież, urodzoną w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.



Dr. Karol Marcinkowski.

Towarzystwem Pomocy Naukowej— rzecz naturalna — zainteresowało się społeczeństwo polskie.

Już rok 1841—2 przyniósł dochodu 12,622 tal., rok 1842—3 — 7312 tal., a rok 1843—4: 13,213 tal.

Przez całe pierwsze lat 25 wynosił dochód 224.040 tal. Źródła niemieckie przytaczają kilka nazwisk niemieckich między ofiarodawcami, ale to zadziwiać nie może, boć Polacy wspierali i wspierają niejednę filantropijną instytucyę niemiecką. Z nazwisk samych zresztą dowieść narodowości nie można, a po za tem i to jeszcze zważyć należy, że Towarzystwo Pomocy Naukowej udzielało także wsparcia młodzieży niemieckiej, a w stosownych wypadkach i dziś jeszcze nie usuwa się od tego.

Pół wieku minęło, gdy Towarzystwo, obchodząc 20 rocznicę istnienia swego, na posiedzeniu dnia 31-go stycznia 1860 roku postanowiło utworzyć fundusz żelazny, aby byt Towarzystwa ile możności utrwalić i oprzeć na silnej podstawie finansowej. Niebawem posypały się znaczniejsze datki i zamiar ten chwalebny został urzeczywistniony. Dyrekcyę w tym czasie stanowili pp. hr. Mielżyński Maciej prezes, Dr. Hip. Cegielski zastępca, prałat Brzeziński sekretarz, hr. Cieszkowski August, hr. Działyński Tytus, Łaszczewski Feliks, Dr. Matecki, prof. Dr. Motty, Potworowski Gustaw, ksiądz Dr. Prusinowski, Radoński Anastazy, profesor Dr. Rymarkiewicz, prof. Wannowski, syndyk Wegner, podskarbi Grandtke, kanonik metropolitalny.

Urzędowo nazywała się instytucya do końca 1860 r. „Towarzystwem Pomocy Naukowej Imienia Karola Marcinkowskiego dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego“. Dopiero na zebraniu dnia 20 lutego 1861 r. przyjęto nazwę Imienia Karola Marcinkowskiego, aby uczcić pamięć tego zasłużonego męża.

Posiew padł na żyzną rolę. Obecnie poszczycić się możemy, że fundusz żelazny „Towarzystwa Pomocy Naukowej Imienia Karola Marcinkowskiego dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego“ — taki jest tytuł zupełny tej dobroczynnej instytucyi, wzrósł do 1,084,198 mk. Składki zwyczajne wynosiły r. 1907 32,887 mk., a nadzwyczajne 8124 mk. Wobec tego liczba wspieranych osób od początku istnienia Towarzystwa wynosi nie setki, lecz tysiące. Ciekawe jest zestawienie stypendystów z ostatniego roku podług zawodów, którym się poświęcili, i zakładów naukowych, przez nich zwiedzanych. Kształciło się:

Na wydziale filozoficznym włącznie

teologów osób 25; na wydziale prawniczym 18; na wydziale lekarskim 45; na dentystów 10, weterynarzy 2, aptekarzy 29, chemików 3, agronomów 5, leśników 10, górników 2, mierników 2, na politechnikach i technikach 29, w szkołach budowlanych 39, w szkołach handlowych 2, na werkmistrzów, rzemieślników artystycznych i rękodzielników 25, w szkołach sztuk pięknych 2, w gimnazyach i szkołach realnych 258, w szkołach średnich 41. Razem 547. Z stypendystów roku 1907 ukończyło swe studya 29, w tem 20 gimnazyastów. Liczba stypendystów prawników zmniejszyła się. W roku 1905 było ich 22, w roku 1906: 23, a w ostatnim, jak wymieniliśmy, tylko 18.

„W. J. Dz. P.“

Maryla Czerkawska.

Zbrodniarz.

Nowela).

Czuł, że zbliża się koniec. Gdy ból szarpał mu wnętrzności, targał, rwał, wżerając się w zapadłą jamę żołądka, zatapiał w nią ostre, jak u dzikiego zwierza zęby i kąsał i zdawał wyrywać drgające żywe ciało; gdy wbijał jakieś tępe narzędzia tortur i rozdrapywał jakieś nieznane rany i palił ogniem, który idąc ku górze osmalał mu gorączką usta, chwytał wyschłemi kościstemi palcami nóż, chcąc wbić go sobie w piersi. Lecz dłoń, trzymająca brudny, szary trzonek, odmawiała posłuszeństwa, oczy zachodziły mgłą żalu, przychodziła cicha rozpacz, przychodziła refleksya, a z kątów serca wypełzała blada, nieśmiała nadzieja. I Wawrzyniec przypomniał sobie wszystkich chorych, widzianych w ciągu sześćdziesięciu lat życia; odtwarzał w żywej plastyce chłopskiej pamięci straszne rany, ropiejące, krwawe, pełne zgnilizny, okropnego odoru zepsucia, czasem obsiadłe robactwem. Uprzytomniał sobie rozbite czaszki, złamane, sterczące przeraźliwie piszczele, budził uśpione echa dawno słyszanych jęków, skarg, skomleń, krzyków i liczył i sumował. Tylu wyzdrowiało, tylu zaledwie umarło.

Dlaczegóżbym ja... szeptało coś w głębi.

Pamięta, jak Jaśka Mitręgę przywaliła w lesie sosna, druzgocąc mu nogę i wyłupując dziurę w czaszce. Leżał kilka godzin bez ducha, potem przyjechali doktorzy, złożyli nogę, zagipsowali, kleili coś na głowie, lepili, Bóg ich wie, założyli na głowę bandaż, kazali kłaść lód i hałasu nie robić w chałupie. Jaśko zrywał się, krzyczał, skarżył się, gadał w gorączce i — wyzdrowiał.

Dlaczegóżbym ja — lepiej mi dzisiaj, powtarzał co dzień.

I rzeczywiście, czasem ból, jakby zmęczony długą, uciążliwą pracą układał się gdzieś w głębi na spoczynek, poruszając się od czasu do czasu, jak przez sen. A Wawrzyniec wychodził na przyzbę i grzał się w słońcu.

Była wiosna — słońce uśmiechało się słodko, rozkosznie, złote, jak warkocze Maryi Wójtównej, która w potoku prała chusty. Z jabłoni opartej gałęziami o strzechę leciały biało-różowe kwiatki, wiatr otrząsał puchy wiśni, a czasem lekki niesforny płatek siadał na wytartym surducie Wawrzyńca, jak motyl. Jego ogarniała rzewność. Oj, piękny ci ten świat, piękny, słonko, trawa, te ptaszęta, co radośnie śpiewają, jak na weselu. A mądry ci ten Pan Bóg, a gospodarz. Wiosna to wiosna, jak się patrzy.

Gdzieś na zielonych świeżych trawnikach pasły się żarłoczne chude, mizerne, wynędzniałe krowy chłopskie, goniły się pokrzykując chłopaki, dziewczęta wiły wieńce ze stokroc. W dali majaczyła sylwetka oracza ktoś ciskał ziarna miarowym ruchem, gdzieś skrzypiał nawóz pod spóźnione kartofle. Wawrzyniec, łowiąc chciwie gwar wsi, wsłuchiwał się w szmer dalekich głosów jak stary schorowany brytan, nie mogący się ruszyć. Odzywała się w nim nieuświadomiona, wielka, potężna chęć życia, podnosił wyschłe piersi nienazwany, niewydobyty na zewnątrz krzyk, jakieś lękliwe pragnienie wychylało się z serca, jakaś nieznana jemu samemu krzywda domagała się sądu sprawiedliwości a instynkt wołał jeść.

— Kasiu — skinął na małą sześcioletnią dziewczynkę bawiącą się na łące — przynieś mi mleka.

Małe, szczupłe dziecko o delikatnych rysach, anemicznej cerze, dużych jasno-niebieskich, silnie podkrążonych oczach i maleńkim płowym zwichrzonym warkoczyku przybiegło, a usłyszawszy rozkaz dziadka, mówiło: po co wam mleka, kiedy i tak pić nie będziecie.

— Przynieś, głodnym, widzicie, takie małe, a już leniwe — gderał. Dziecko wbiegło do chaty i wracając po chwili, wniosło ostrożnie w małych, czerwonych rękach garnuszek.

Wawrzyniec wyciągnął dłonie, chciwie, pospiesznie chwyciwszy garnek, podniósł do spieczonych ust. Chlipnął, przełknął głośno i odjął z bolesną, cichą rezygnacyą, stawiając garnek na ławce.

— A widzicie dziadku, znowu trzeba nieść mleko do chałupy — wy zawsze tak.

— Zostaw — szepnął.

— Może za chwilę — toż głód czuję w dołku, pali, piecze. Oj, żeby to módz jeść chleba kromę, kaszy, mleka. Chorość ustałaby, jak ręką odjął. Jeść, jeść. Skręcały się kiszki, paliło gardło, a potwór w głębi żołądka, rozpanoszywszy się królował, nie puszczał, wydając rozkaz tajemny, zagradzał przejście, nieposłuszeństwo karał bólem.

Jeść! wołała cała świadomość Wawrzyńca; jeść! krzyczał ostatkiem sił każdy osłabły nerw, mięsień, organ; jeść, szeptało życie, bo odejdę. Nie mogę, nie mogę, poruszały się beznadziejnie usta.

Zamrzeć mi trzeba, a no każdemu przyjdzie na koniec. Żeby choć godnie pochowali, żeby choć nieposkąpili na ostatek. Przywiązanie do życia roztacza jeszcze przed nim obraz pogrzebu, który jakby przedłużyć miał istnienie jego, Wawrzyńca.

Powinni ubrać mię w siermięgę, opasać pasem, trumnę zbić z tych desek, co są na strychu. Ludzi się nazbiega, cała wieś przyjdzie, poczęstunek gospodarski, wódka, piwo.

Chorągwie, chłopi niosą na barkach trumnę, biją dzwony, w kościele msza. Palą się świece, aż jasność bije, kadzidło pachnie, potem ksiądz śpiewa requiescat in pace, ludzie klękają, słychać szlochanie bab. Biorą znów trumnę, idą na cmentarz, znów drgają dzwony, chorągwie chwieją się jak wielkie, czerwone ptaki, potem ksiądz mówi o nim, Wawrzyńcu, długo, głośno, tak mówi, aż chłopom wilgotnieją oczy; śpiewają Salve Regina, organista głośniej, ksiądz ciszej.

Marzenie pierzcha.

Hej, gdzieby tam mnie chudzinie taki pogrzeb, pokropią, spuszczą do jamy i koniec. Nie dla mnie taka parada. Żeby choć Hanka przyjechała.

Pisał do córki służącej gdzieś w mieście, opowiadając o chorobie, prosił o przyjazd, wspominając dziecko błagał o zamknięcie mu oczu, płakał nad listem, czekał codziennie, nie przyjeżdżała.

Suka, myślał ze złością, o dziecko nie dba, sukienczyny nawet nie przysyła, marnego łacha jej żal, pani w kapeluszu i rękawiczkach. Zamyślił się, zwiesił głowę.

Dogasał dzień. Po brudnych, drob-

nych szybach ślizgał się różowy blask, wchodził do wnętrza i cofając się, uciekał, nikł. Delikatna złota poświata bladła, błękitniała.

Wawrzyniec leżał, dysząc ciężko na długiej, żytniej słomie, przyniesionej mu przez sąsiadkę z życzeniem, by skonał prędzej, nie męcząc się.

Resztką sił walczył ze śmiercią — widział ją białą, straszną, z kosą w kącie chaty, chwilami czuł jej ciężką dłoń na piersiach, palce jej ściskały mu gardło.

Z pod zarzuconego niedbale na ciało płaszcza, wyglądały chude, o przeraźliwie wyraźnych kościach, ścięgnach i żyłach nogi, silnie rozwinięty niegdyś mięsień majaczył ledwie widoczny, zsiniała wstrętna skóra, przyległa do kości, paznokcie zczerniały już jak u trupa.

Chwilami ból go chwytał w szpony, dogryzał resztki, szarpał, żarł, chwilami nie czuł nic, prócz niemocy.

Zamrę dzisiaj, powiedział sobie z rezygnacyą, darmo!

Lecz co z dzieckiem? Pójdzie na poniewierkę, na głód i nędzę, robaczek. Na gruncie same długi, zabiorą, sprzedadzą, dziecko wyszlą w służbę. Ot, służbę, gospodyni jeść nie daje, gospodarz bije, dzieci poszturgują — znajda. Na co mi to przyszło, na co!

Przed oczyma przebiega mu błyskawicznie takie zwyczajne, biedne życie. Młodość, wojsko, wesele, żona, praca. Nastał zły rok jeden, drugi, trzeci, nikt nie pomógł, bieda się wkradła, pożyczył jedną dziesiątkę, drugą, procent rósł, oddać nie było z czego — sprzedali połowę gruntu, on zaczął pić — potem żona umarła i znów pił i pił dopóki nie przyszła choroba. Córka znalazła sobie dziecko, zostawiła tutaj, sama poszła w świat — ani pomyśli, co z robaczkiem niewinnym będzie — co? Na nędzę jej przyjdzie, na głód, albo na hańbę.

Podniósł oczy ku wizerunkowi Ukrzyżowanego, wiszącego pod pułapem.

O Chryste, nijakiej rady, nijakiej pomocy.

O dolo człecza krwawo, o dolo.

Piłem Panie, obrażałem Twoją boską osobę. Ty widziałeś, że nie z rozkoszy, jeno z żałości, udręki, jeno troski, a potem już djabeł ciągnął, podsuwał, kusił.

O Chryste, modli się Wawrzyniec — i przechodzą przed nim zmarnowane dnie, zgaszone uśmiechy, gorżkie łzy, troska, smutek, ból.

O dolo człecza krwawa, o dolo!

Cierpienie chwyciło go znów, mącąc jakąś powstającą myśl.

Po chwili oprzytomniał i myśl wracając świeciła wyraźnie.

Kasiu, chodź do mnie.

Dziecko podniosło płową, rozczochraną główkę.

Nie pójdę, boję się was, dziadku, ta kiście straszny, wy pewnie niedługo zamrzecie.

Nie chcesz iść ze mną do Bozi, co?

He ja mam coś, mówi Wawrzyniec, z jakimś dziwnym, strasznym błyskiem w oczach. Jak to zjesz, będzie ci zawsze dobrze. Mam cukierek — widzisz — chodź.

Dziecko lękliwie zbliża się do łóżka, pokusa jest jednak silniejszą od strachu.

Wawrzyniec jedną ręką daje czerwony cukierek, drugą chwyta silnie za chudą, wątłą szyję i ciągnie na łóżko. Całą siłą muskularnych niegdyś palców ściska szyję, jak wątłego ptaka dusząc. Krzyk dziecka zamiera, z gardła wydobywa się głuche rzęrzenie. Dobrze ci będzie teraz, szepce, pochylając się z tkliwością nad siniejącemi usteczkami dziecka; lecz w tejże chwili chwyta go kurcz, wyprężając członki w śmiertelnych drganiach. Ręka zaciska się silniej, życie trzepoce się jeszcze w zapadłych piersiach, podnosi je nierówno i z ostatkiem oddechu, w ledwie dosłyszalnym jęku wypełza na wargi i uchodzi.

Nastaje cisza.

....Księżyc wyszedł wolno z za dalekich gór i na szybach oparł się promieniem, a gdzieś w opłotkach zaczął wyć czujny pies.



Walka kozic w Tatrach.

Na powyższej rycinie jest znakomicie zobrazowana walka kozic w Tatrach na tle gór niebotycznych. — Kozica czyli gemza, jedyna antylopa europejska, żyjąca w Alpach i Tatrach, jest podobna do kozy domowej, tylko rogi ma okrągłe i w tył zagięte. Kozica przebywa po wysokich turniach, gdzie spasa nędzną trawę górską. Polowanie na to wspaniałe zwierzę, będące ozdobą górskich okolic, jest ustawą zakazane.

Błogosławieństwo tym, którzy zrozumieli swoje wysokie posłannictwo! Oni staną śmiało przed trybunałem dziejów i przed sądem Boga, ich nie siągnie klątwa, którą otaczamy próżniaków i marnotrawców, bo zmarnować siły narodowe, to zbrodnia i zdrada.

Józef Supiński.

* * *

Pamiętaj przysłowie,
Że Maleparta — do czarta!

Władysław Syrokomla.

* * *

Ks. A. Maciejowski.

Ośm błogosławieństw.

Nie tym, co ufni w potęgę złota,
Gardzą maluczką bracią ubogą,
Staną otworem niebieskie wrota —
Tam się odmienną podąża drogą...
Królestwo Boże ten tylko bierze,
Kto miłość Bożą najwyżej ceni,
Świetnością świata pogardza szczerze:
Ubodzy duchem błogosławieni!

Nie dla tych rajskich niebios krainy,
Co o swych czynach trąbią dokoła
I sami sobie zwycięstw wawrzyny
Wobec ludzkości kładą na czoła.
Lecz dla tych, którzy po życia fali
Przemknęli cicho, niepostrzeżeni,
Którzy pokory zawsze szukali:
Cisi, pokorni błogosławieni!

Ci, co na ziemi szczęście wyczerpią
I których rozkosz doczesna pieści,
Co nie współczują tym, którzy cierpią
I nie zapłaczą łzami boleści —
Za progiem życia już nie dostaną
Chwały niebieskiej jasnych promieni,
Płaczący wezmą zapłaty wiano.
Bo oni będą błogosławieni!

Ogromne płyną po świecie rzesze,
Ale o chwałę nie dbają Bożą,
O swojej tylko myślą pociesze —
Rajskich podwoi tym nie otworzą,
Lecz tym, co Boże królestwo szerzą,
A nigdy sercem nienasyceni
Łakną i pragną, kochają, wierzą;
Bo oni będą błogosławieni!

Wielu posiada obfitość chleba,
Ale nędzarzom wiecznie go skąpią,
Nie wiedzą co to bliźnia potrzeba —
Ci miłosierdzia też nie dostąpią,
Bo ich szczęśliwa dola po zgonie
Na opłakaną wnet się zamieni —
A miłosiernym wieniec na skronie
Włożą, bo oni błogosławieni!

Ci, co stracili serca prostotę
I brudne tylko kochają męty,
Nie wejdą nigdy w przestworza złote,
Gdzie tylko miejsce znajduje święty,
Serce niewinne i duchy czyste
Wśród nieskończonej nieba przestrzeni
Będą królować z Tobą, o Chryste:
Czystego serca błogosławieni!

Na świecie niemasz duszom pokoju,
Ale wre walka ciągle zacięta,
I wielu ginie od tego boju
I znika miłość na ziemi święta,
Oliwnej trzeba światu gałązki,
Co się pokojem świętym zieleni
I nowe stwarza wśród ludów związki:
Czyniący pokój błogosławieni!

Królestwo Boże nie tych udziałem,
Którzy na ziemi krzyżów nie noszą,
Których pragnieniem i ideałem
Serca doczesne i serc rozkoszą —
Lecz tych, co Mistrza kroczyli śladem,
Których się czoło krwią zarumieni;
Tym dadzą na skroń lśniący djadem:
A którzy cierpią błogosławieni!

Wzór włościanki-obywatelki.

W ostatniej dobie coraz częściej zdarzają się fakty, świadczące o znacznem uspołecznieniu naszego ludu. Świeżo właśnie mamy do zanotowania objaw głębokiego zrozumienia potrzeb kulturalnych, a zarazem wysokiej filan-



Julia Bobrzyna.

tropii u włościanki wsi Prusy — pod Lwowem p. Julii Bobrzyny. Biedna włościanka widząc, że istniejące w jej wsi stowarzyszenia: jak Czytelnia Tow. Szkoły Ludowej, Kasa Raiffeisena, Straż pożarna, Związek chórów i teatrów włościańskich, nie mają się gdzie pomieścić, a wskutek tego działalność ich nie może się odpowiednio rozwinąć, ofiarowała pod budowę „Polskiego domu ludowego“ grunt swój — we wsi położony, wartości 2000 K.

Fakt ten tembardziej znamienny, że p. Julia Bobrzyna uczyniła to zupełnie dobrowolnie, bez niczyjej namowy — i do tego dała wszystko, co miała, a prosiła tylko, by w wybudowanym domu zostawiono jej kącik, z którego mogłaby się przyglądać, jak bracia jej — włościanie w „Polskim domu“ pracować będą; a po śmierci, powiada, „odprawcie za mnie mszę św.“ Oparła się dzielnie wszelkim perswazyom we wsi, bo byli i tacy, którzy jej odradzali — wytrwała przy swoim zamiarze — bo zrozumiała, że „Dom polski“ jest we wsi koniecznym, i niemało przyczynia się do większego rozbudzenia się narodowego.

Zapis na rzecz Tow. Szkoły Lud. przez p. Julię Bobrzynę uczyniony, posiada obok materyalnego, o wiele donioślejsze jeszcze moralne dla społeczeństwa polskiego znaczenie. Do niezbyt długiej, jak dotąd przynajmniej listy, tych, którzy się w dziejach T. C. L. zapisali przez mniej lub więcej hojne legaty i dary, przybywa obecnie jeszcze jedno nazwisko włościańskie, kobiece. Jest ono wymownem świadectwem przenikania idei odrodzenia narodowego przez oświatę w duszę ludu, jest także pięknem zaprzeczeniem, rzuconem tym, którzy twierdzą, iż lud nie posiada pierwiastków idealnych w swej duszy, że nie chce oświaty.

Życie ludzkie.

(Legendy Lwa Tołstoja.)

Szliśmy przez las ku łące, ciągnącej się zielonym aksamitnym pasem ponad cichemi wodami rzeki Woronki. Na wybrzeżu tej rzeki w dawnych bardzo czasach przebywał czarodziej, o którym pamięć do dziś dnia zachowała się w legendach ludowych. Wspomniawszy o nim, Tołstoj powiedział:

Wsłuchajcie się w opowieści ludowe a zauważycie coś dziwnie łagodnego, co rozumieć mogą tylko ludzie, umiejący głębiej patrzeć w rzeczy — stosunek duszy ludowej do strasznych czynów złego serca. Otóż te okropności nie istnieją, topnieją one i nikną, jak kłębi się i znika mgła poranna w pierwszych promieniach świtu. W pojęciu ludu o świecie, zła niema, stąd pochodzi niechęć do walki ze złem, bo zło jest widziadłem nocy, fatamorganą mgły. O mój młody przyjacielu, gdy przeżyjesz dłuższy szereg lat i przyjrzysz się uważnie tym burzom życia, temu pochodowi wypadków, ze wzdymaniem się i opadaniem fali, zwycięstwami i porażkami, z tym nieustannym zamętem ludzkich zachcianek, kiedy wspomnisz o tem wszystkiem, zrozumiesz jak prawdziwym, głębokim i mądrym jest pogląd starca ludu, który tak wiele przeżył. Wierzy on, że człowiek jest stworzony dla dobra, a nie dla zła, że jego

uczynki powinny być dobre. Cudne opowiadania właśnie na ten temat słyszałem kiedyś i zdaje mi się już wspominałem o nich, ale teraz, zastanowiwszy się uważniej, widzę, ile w nich głębokiej prawdy. Oto jest jedna z opowieści:

Rozmyślał Pan Bóg nad stworzeniem nowej istoty, dziwnym pomieszaniu nieba i ziemi. „Nie twórz jej“ — rzekł anioł prawdy — „ona kłamstwem zaćmi światłość Twoją, powiększy na ziemi fałsz, oszustwo zapanuje wszechwładnie“. — „Nie stwarzaj jej“ — błagał anioł sprawiedliwości — to będzie istota okrutna, krzywdząca wszystkich, kochająca tylko siebie; będzie głucha na cierpienia cudze, a jęki pokrzywdzonych nie wzruszą jej serca.“ — „Zaleje ziemię krwią“ — dodał anioł pokoju — „a zabijanie stanie się jej zajęciem“. Zasępiło się czoło Wszechmocnego, połączenie nieba i ziemi w jednej istocie zdało Mu się niedobrem i w przedwiecznej woli Jego już gotował się rozkaz: „Nie istnieć!“ Ale oto przed tronem życiodawcy stanęło najmłodsze i najukochańsze Jego dziecko — Miłosierdzie, objęło Ojca za kolana. „Stwórz ją“ — modliło się do Niego — „gdy wszystkie sługi Twoje ją opuszczą, odszukam ją, pomogę jej w życiu, wszystkie złe skłonności zamienię na dobre, zaopiekuję się nią, by nie zeszła z drogi, by nie odstąpiła od przykazań sprawiedliwości i prawdy. Zbliżę duszę jej do cierpień i nauczę być miłosierną dla słabszych.“ Rozjaśniło się czoło Władcy Wszechmocnego, i dobroć opromieniła oblicze Jego. I dziwne połączenie nieba i ziemi powstało na Jego obraz i podobieństwo. „Żyj!“, tchnął Wszechmocny ducha Swego i rzekł: „pamiętaj, żeś synem Miłosierdzia“. Tak był stworzony człowiek. Oto jeden z poglądów duszy ludu i dlatego ta dusza jest tak bliska ewangelii, tej zwiastunki miłosierdzia i dobra.

Albo inna opowieść:

Córka królewska została narzeczoną potężnego księcia; ten nie żałuje niczego, by narzeczonej swej dostarczyć jak najwięcej przyjemności. Stawia dla niej wspaniałe zamki, lśniące od złota i marmurów, urządza uczty i zabawy, obsypuje ją kosztownemi dary, złotem, perłami i kamieniami cennemi... Ale narzeczona jest obojętna na wszystko — serce jej pozostało niewzruszone. Dla czego? Ponieważ jest córką królewską. Tak dzieje się z duszą. Świat jej ofiarowuje wszystkie skarby swych rozkoszy, samemi uciechami ściele jej drogę. Ale pozostaje ona obojętną na wszystko, a serce jej niewzruszone. Dlaczego? Ponieważ jest córką Bożą. I tu widzimy również wyniesienie duszy i dobra. Ale mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego odczuwamy w sobie skłonność do zła? Dlaczego nas podburza, dlaczego ciągnie w przepaść zła i w ciemność grzechu? Gdzie się kryje tajemnica?



Przy studni.

Rycina powyższa przedstawia piękny, udatny krajobraz: wieś podczas zimy.

Posłuchajcie, jaką na to zagadnienie znajdujemy odpowiedź w mądrości starożytnej:

Był pan, który miał ogród ze wspaniałemi drzewami owocowemi. Postawił on u wejścia dwóch stróżów: jednego ślepego, a drugiego kulawego. „Innych nie puszczą i sami nie będą rwali owocu sadu mego“ — myślał właściciel i uspokojony — powrócił do swego pałacu. O północy, gdy zajaśniały gwiazdy i księżyc oświecił ogród, wszystko jeszcze wspanialej się przedstawiło.

Przemówił kaleka do ślepego: „Co za wspaniałe owoce!“ — „Przynieś i będziemy jedli“, szepnął ślepy. — „Czy ja mogę“ — odpowiedział z westchnieniem kaleka — chyba, że mnie weźmiesz na plecy, podniesiesz do drzewa, a zerwę dość dla siebie i dla ciebie“. Usłuchał ślepy, postąpił według rady kaleki, rwali i jedli owoce. Zrana przychodzi właściciel. Stróżowie na swych stanowiskach, z prawej i z lewej strony wrót, — owoce zaś zerwane.

— Przyznajcie się — zawołał gospodarz — pewnie wpuściliście złodzieja?

— Przysięgamy, panie, że złodzieja nie było! — odpowiedzieli jednocześnie.

— A więc który z was to zrobił? Przyznajcie się.

— Widzisz niemoc moją — rzekł kaleka, ja i po równej drodze dwóch kroków o własnej sile zrobić nie mogę.

— Widzisz ciemność, która mnie ogarnia — rzekł ślepy, wskazując na zapadłe oczy, — nie znalazłbym drogi.

Ale gospodarz posadził kalekę na plecy ślepemu, a poprowadziwszy ich do drzewa, rzekł:

— Oto jakeście uczynili!

I strącił ich w ciemnię.

Tak dzieje się z człowiekiem. Leży ciało martwe, czyste, pokorne i wszystko dokoła dyszy spokojem i ciszą. — „Czy mogłem zgrzeszyć“ — mówi ciało — „jestem ślepe, nie widzę uciech żadnych i drogi do nich nie znam.“

— A ja czy mogę grzeszyć — mówi dusza — od chwili, gdy opuściłam ciało, jestem jak ptak czysty szybujący w powietrzu i przedtem nim weszłam w ciało, również do ptaka podobną byłam.

— A więc tak uczyniliście — rzeknie Bóg. Bierze ciało, łączy je z duszą i prowadzi na drzewa życia ze wspaniałemi owocami... Zaczyna się życie człowieka.

W tem skojarzeniu cała tajemnica, cała pokusa, a jednocześnie cała nękająca uciecha życia. Właśnie nękająca.

Bo życie tylko w pracy nad sobą, w pracy dla drugich i w służbie Bożej jest życiem radosnem i miłem, ale nie ma w niem tej fajerwerkowej barwności i upajających uciech, które zna życie zmysłowe.

I chwała Bogu, że tak jest — zakończył Tołstoj...

(„Kraj“). *I. Terenomo.*

Paula Wężyk.

Trzy siostry.

Trzy siostry, dziewice, gawędząc szły społem.
Najmłodsza, swobodna jak młoda sarenka
I druga wesoła z pogodnem szła czołem,
Lecz w oku tej trzeciej lśni łezka, drga męka.

„Powiedzcie, czem miłość?“ Najmłodsza je bada,
Wnet druga odpowie: „To miodu jest czara,
Czytałam tak w książkach“. — A trzecia z nich blada
Napróżno westchnienie swe ukryć się stara.

„Ach, miłość, miód słodki, co w piołun się zmienia“.
Westchnęła cichutko i wstrząsła się z trwogą.
Dwa ciche, siostrzane jej wtórzą westchnienia
I grozą przejęte trzy siostry szły drogą.

Na zdrowie!...

Niedawno jeszcze, gdy kichnąłeś, zewsząd obsypywano cię życzeniami: „Sto lat zdrowia!“ „Wszelkiej pomyślności!“ „Podług życzeń!“ itp. itp. Dziś spotyka cię to rzadziej, dziś bowiem nie wypada starego zachowywać obyczaju, a starego tak, że Arystoteles zastanawiał się nad jego źródłami, już w tej epoce ginącemi w pomroce wieków.

Starożytni Egipcyanie trzymali się tego zwyczaju święcie. „Zend Avesta“ mieściła przepis: „wymawiaj Ahunovar Ashimvuhu, ilekroć usłyszysz kichnięcie“; formułka Hebrajczyków brzmiała „thobim chajim“.

W Grecyi, wedle Olimpiodora, życzono sobie „zete“ (żyjcie), jeden z epigramatów Antologii podaje „Zeu soson“ (Bodaj cię strzegł Zeus!). W Rzymie życzono sobie: „Jowisz niech cię zachowa i strzeże!“ Pliniusz zapewnia, iż Tyberyusz życzenia tego domagał się stanowczo.

W Siamie, gdy kto kichnie, wnet boskiej wzywają opieki, Colignus w „De rebus Abissinorum“ i Strada twierdzą, iż w Monomotapa, gdy król kichnie, wnet zawiadamiają o tem poddanych, a ci zbiorowo wyrażają mu życzenia zdrowia; wedle Helvetiusa, ilekroć kichnął król, obowiązani byli kichać także i poddani. „Journal de France“ w zeszłym jeszcze wieku podał wiadomość, że kiedy król Sennaaru kichnie, dworacy obracają się do niego tyłem i uderzają się w prawe udo.

Zwyczaj ten zastali Hiszpanie i w Ameryce. Pinto w „Dziejach podboju Floridy“ poświadcza, iż gdy kacyk Gucaya kichnął, Indyanie ze świty jego padali przed nim na twarz, a wyciągając ramiona, błagali słońce, aby go oświeciło i broniło.

We Włoszech do dziś dnia życzą: „zdrowia, pomyślności, sto lat życia i syna tęgiego!“

Z wyjątkiem anabaptystów w Anglii, wszyscy ludzie, wszelkich epok i krajów, witali kichanie życzeniami, to też i tłómaczeń początków owego zwyczaju nie braknie.

Najobszerniejszego wątku starożytnym jeszcze dostarczył Prometeusz; podanie o tem w różnych powtarzano odmianach.

Owóż Promoteusz to, zakończywszy lepienie posągu, który stać się miał człowiekiem, przy pomocy Minerwy dostał się do nieba i w szczelnie zamkniętym flakonie uniósł nieco ognia słonecznego. Powróciwszy na ziemię, odkorkowany flakon, przytknął do nosa posągu, a ten, jak to i nam się zdarza, gdy na słońce spoglądamy, kichnął, dając tem znak życia. „Bodaj ci na zdrowie poszło!“ rzekł Prometeusz i oto początek zwyczaju.

Jak wszelkie podania pogańskie, tak i powyższe pod pokrywką bajki zawiera i obserwacyjny pierwiastek: wielu lekarzy utrzymuje, że u nowonarodzonych dzieci kichnięcie jest pierwszym aktem i objawem życia, wobec którego uradowani rodzice mimowolnie prawie występują z życzeniami. Również Biblia wskrzeszonemu przez Elizeusza dziecku siedem razy kichnąć każe.

Starożytni utrzymywali także, iż Promoteusz zapaloną od słońca pochodnię przytknął do głowy posągu. Mózg jego, wilgotny jeszcze, pod działaniem płomienia, wydał kichnięcie, które zgasiło ożywczą pochodnię, to była śmierć; wezwani bogowie sprawili, iż ponowne kichnięcie zapaliło ją i Promoteusz błogosławił nieba.

Bajka powyższa zbliżona jest do objaśnień, dawanych przez uczonych żydowskich. Po grzechu Adama, Bóg postanowił, iż każdy człowiek raz tylko w chwili śmierci kichnął.. Tradycya ta przechowała się do czasów Jakóba. Ten ostatni, aby ją przerwać, gdy gorącą do Pana zasyłał modlitwę, wysłuchany został, kichnął bowiem i nie umarł. Nakazano więc odtąd przyjmować kichanie życzeniami, na znak dziękczynienia za zachowanie i przedłużenie życia.

Siamczycy utrzymują, iż w piekle jeden z sędziów, utrzymujący spis grzechów ludzkich, Prayomppaban, przerzuca ustawicznie stronnice z grzechami w ostatniej popełnionemi godzinie, ludzie zaś, których nazwiska odczytuje właśnie, kichają, poczem przezornie czynią, wzywając boskiej pomocy.

Historya także dorzuca tu słowo od siebie: Polydor Wirgiliusz podaje, iż w r. 591-ym panowała w krajach łacińskich epidemia, którą dotknięci umierali kichając. Papież Grzegorz I-szy nakazał modlitwy celem odwrócenia klęski i wtedy to wejść miało w zwyczaj wyrażanie kichającym życzenia: „Bodaj cię Bóg błogosławił!“ Tłómaczenie to samo w sobie zupełnie wystarczające, cóż, kiedy zwyczaj składania życzeń stwierdzono na długo przed VI-ym wiekiem.

Kichanie było dla starożytnych rodzajem przepowiedni: jeżeli się wydarzyło od południa do północy, zapowiadało szczęście i odwrotnie, a w Atenach jak też w Rzymie kichnięcie stanowiło pomyślną przepowiednię.

Jedno z podań objaśniło, jako w chwili urodzin pięknych kobiet Amory kichały, komplimentem też nielada bywało dla dam, gdy się je witało słowami: „Sternuit tibi Amor!“

Arystoteles dwoma przyczynami tłómaczył powstanie zwyczaju składania życzeń przy kichaniu: pierwszą była cześć, oddawana uświęconej cząstce organizmu, mózgowi, z którego kichanie pochodziło; drugą, rodzaj powinszowania kichającym, w których objawiło się tą drogą zdrowie.

A oto jakie podaje tłómaczenie Montaigne:

„Pytacie mnie, zkąd pochodzi zwyczaj błogosławienia kichających? Wydajemy z siebie trzy rodzaje wiatrów... trzecim jest kichnięcie, a ponieważ płynie z głowy i nie zasługuje na naganę, przyjmujemy je więc z odznaczeniem.“

Motyw ten, być może, źródłem był życzeń filozofów; masy jednak ludu w kichaniu widziały poprostu znak zdrowia: większość lekarzy tak a nie inaczej zapatrywała się na nie, Hipokrates zaś uprzywilejowanemi zwał kobiety, które w poważnym okresie stanu swego kichały często.

Ale bo też chorzy rzadko kichają, a nigdy — blizcy zgonu.

Bal żydów.

(Humoreska).

Z tysiącem elektryczny płomyki zajasznili si gościnny progi naszy bałowy sali, rzucając magikowe reflekssowanie na glanz świżo z woskim frotyrowane podłogi. W kużden kąt stało malarycznie ugrupiony klombki z dwa olejandry i pary żylony kaktusy; więcyj jak sto rozmaity gatunki krzesła stanęli szeregim pod szczany. Osiem pachniący, umysłowo na tego celu przez pana aptykarza Bromsilbera szlachetnie i bezinteresownie ofiarowany trociczki rozliwali na okółku balsamowskie zefirki. Sześć orygynalnych wojskowych muzykantów siadało na wysoki deszczułki w róg sali, kużden czymał na storc swego instrumentu, gotów jak na skinięcie czarnoksiędzowy pałeczki rżnąć od ucha do ucha co si wlizi!...

Punkt godżyny pół dżewiąty gromadzało si komytetu składanego z panów dra Hochpientesa, dra Hintergreifa, dra Pindełesa i dra Seelenschwanza, ażeby przyjmować gości i gościowy, a przed wszystkiego tuj tuj nadciągać się mające bałowy patronesy.

I w samy rzeczywistości, zaledwo co no mieli czasu naciągać po jedny rękawiczki, tylko co zdołał pan doktor Pindełes zrobić pana doktora Seelenschwanza uważnego na niekopletne zapięcie przedni garderoby — gdy już drzwi si otwirali szyroko i cała kurowada pięknych dam o olśniwający tuszy i okazanych wdzięków zaczęła sypać jak z torby obfitości.

Niepodobna mi tu wyliczywać całe szeregi świętnie brzmiących nazwisk.. Dość kiedy wspominam takie znane firmy jak pani Fensterschwitz, pani doktorowy Magenbitter, uroczy pani Mojżeszowy Postanweisungowy, państwa Salomonostwa Katzenbauchostwa, państwa Mordkostwa Elfenbeinostwa, panny Dwojry Riesenbuckel i tym podobny. Wszystki lichtarze naszego społeczeństwa jawili si w komplocie.

Kiedy już sala była do pół napychana, klaskał pan doktor Hochpientes do ręki, muzykanty przykładali krzypki do brody i rozligała się komenda:

— Szanowny patronesy! stawać do polonesy!

I suwał si wąż różnokolorowany od końca do końca z wielki powagi i delikatności, aż pan Moryc Kikenis zachwycany spitał pana Hersza Katza:

— Dus ys szajn! Wus?

Ale pan Katz poczebował machać z ręki i wzdychnić:

— Co to jest za tancowanie!? To jest spacyrowanie! ja tak samo tancuję codzień po parku miejskim z Korkełesem!

Śmiali si z niego trocha — ale polonesu prędko si konczało i według protokołu tańców miało teraz przychodzić walcowanie. Nagle i nispodziwanie wyrywał si pan Würfel:

— Musik! Trampel polkie!

Ogólnie oklaski odezwało si z zadowoleniem, ale pan doktor Hochpientes zakrzyczał:

— Hałt! ja tu jezdem od arażerji, i proszę sobi nie miszać nikomu! Musik! Walz!

Teraz muzyka zdurniała, robiło si zamiszanie, pan Würfel przyskakał do pana Hochpientesa i wołał:

— Wszyscy my tu zapłacili i mamy równy prawo!

— Tak jest! — odzywali si głosy — równy, powszechne i bezpośredni!

Znów śmich!... Ale pan Hochpientes nie dał za główny wygrany...

— Tańcy należy do fortencera... A pan sobie pilnuj swoji gruby małżonki, co si wydekoltowała aż po sam dołek!

Pan Würfel myślał, że go teraz szlak trafi!

— Co pan tu kogo z dołkiem wyjeżdża? Ja przecież nic pana nie mówię, że pański siostry dekolte idzie aż po sam — dół!

Śmich — awantury... Jakoś si pogodzili; tylko stary pan Katz poczebował zauważyć, że siostra pana Hochpientesa nie po sam dół jest dekolte, ale po same góry...

No ale un patrzał na ni z drugi strony.

Nareszcie takuj poszła trampel polka, która z małemi przerwami trwała do dwanasty.

Na pauzy poszło całe hołotfolee do bufetu pokrzepić sobie z limoniady i kracherki, aż tym czasem otworzyli si okna dla wentylacji. Za chwyli cznć było już wypuszczane wiaterki i o pirszy kazał pan Würfel dla odmiany zagrać znowu trampelpolki, co już si przeciągało do piąty rano.

Nawet starsze znaczniejszej tuszy poważne damy poczebowali si rozdyndać i hasać, aż stary Katz powiedział do starego Pimpla:

— Ja tu jutro będę przysłać mego stróża z wózkiem.

— Po co? spitał Pimpel.

— Nu... nie widzisz, jak si sypią trociny? Zimno jest... będzie z czym posypywać trytoary!...

I tak si to oni zabawiali te stare panowie.

Amorko tyż nie próżniakował... i zdaje si, że kilka pary już si niedługo zaangażuje na małżeński trampelpolki!... Sam słyszałem, jak młody aptykarz Kikenis zawracał z oczami do Salci Fensterschwitz i patrząc ji na oczy, szepcił:

— Pani jest prawdziwa Wenus medyczna!

A ona go ściskała za palec i mówiła:

— A pan Apalonjusz belladoński!..

. . . .

O siódmy rano juczenka świcała na pusty sali, a służba wymiatała z kątów kawałki tiulu, szczępy korunki, dwa złamane stalówki ze sznurówki i jedne całe półpiersi watowane...

Wynosiłem i ja teraz swoje obecności razem z najpiękniejszych wrażeni, które na długo utkwiło w moje serce, myśli i nogi!...

Do wydzenie na purim! Orywu ar!

Dr. Izydor Putz. („Ś.“)

Wiadomości.

* **Walne roczne zebranie Tow. Dziennikarzy i Literatów na rzeszę niem.** odbyło się w obecności szczupłej tylko liczby członków 21-go z. m. „pod Bernardynami.“ Obradom przewodniczył wiceprezes kolega St. Chociszewski. Po zagajeniu odczytał sekretarz protokół z ostatniego miesięcznego zebrania oraz sprawozdanie za rok ubiegły, które z małemi zmianami przyjęto. Następnie zdał referat szczegółowy skarbnik, podając do wiadomości, że fundusz żelazny wynosi 3000 marek, a w kasie bieżącej znajduje się 1173,54 marek. Z listy członków skreślono pięciu, którzy przez niepłacenie składek dali do poznania, że do Towarzystwa należeć nie chcą. Po dłuższej dyskusyi na temat regulowania zaległości i rachunków udzielono na wniosek komisyi rewizyjnej skarbnikowi deszarży. O stanie biblioteki, która liczy 258 dzieł, zareferował sekretarz. Z zarządu ustępują koledzy Kościelski, Mizerski i Kościński; w tajnem głosowaniu wybrano ich ponownie. Na wniosek z łona zebrania ma zarząd przedłożyć projekt zmiany statutu co do obniżenia składek i wykluczania członków, dalej rozpatrzeć sprawę mianowania jednego zasłużonego kolegi członkiem honorowym. Tak samo ma zarząd przedłożyć na następnem zebraniu komunikat do wydawców oraz Patronatu w sprawie anonsów firm niemieckich i sprawozdań Spółek w pismach polskich. W końcu referują koledzy Rzepecki i Mizerski o zjeździe centr.-polskim w parlamencie niemieckim w sprawie obustronnej pracy. Pamięć zmarłego członka ś. p. ks. Zdzisława Czartoryskiego uczczono przez powstanie z

miejsc. Dwom paniom, które podczas wieczornicy i balu prasy poświęciły dużo czasu i starań postanowiono złożyć podziękowanie.

Dr. Tadeusz Jaworski, sekretarz.

* **Pokwitowanie.** Dochód z wieczornicy i balu prasy dnia 20-go b. m. wynosił brutto 2347,00 marek, do tego dochodzi od p. hr. Szembekowej z Siemianic w miejsce wstępnego na bal 10 marek, czyli razem: 2357 marek. Rozchód łącznie opłaty za salę i muzykę przedstawia się w sumie 629,65 marek, tak, że jako dochód czysty pozostaje suma 1727,35 marek, które złożyliśmy na fundusz emerytalny Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów. — Przyjaciołom naszym, szlachetnym ofiarodawcom, oraz artystom teatru polskiego serdeczne na tej drodze składamy podziękowanie.

Józef Kościelski. Tadeusz Jaworski.
Konstanty Kościński.

* **Od dyrekcyi „Westy“** odbieramy pismo następujące:

Będąc w posiadaniu głównych liczb bilansowych za rok 1908 możemy zakomunikować członkom i życzliwym naszej instytucyi, iż czysty zysk roku obrachunkowego wyniesie po odłożeniu matematycznej rezerwy składkowej i po uskutecznieniu przepisanych odpisów M. 82 255.85 w stosunku do M. 53 800.27 w roku 1907.

Rezerwy wraz ze składkami przeniesionemi na rok 1909 podniosły się na M. 3 855 800.90.

Na członków wypadnie za rok 1908 według obliczeń dyrekcyi 17 procent dywidendy (rok 1907 dał 15 proc), którą rachuje się od pełnej płaconej składki, nie zaś tylko od składki na przypadek śmierci.

Wypłaciliśmy w roku 1908: M. 199 742 po 95 zmarłych członkach i M. 59 931 członkom za życia.

Ogółem dotychczas wypłacone zostało przez „Westę“ do końca roku 1908 M. 5 323 911.16.

Nasze procenty przynoszące fundusze wzrosły o M. 205 000. Cały majątek „Westy“ podniósł się zaś do wysokości M. 4 331 363.71.

Zaprowadzona też została we „Weście“ na korzyść zabezpieczonych następująca zmiana, że, skoro zabezpieczenie trwało już 3 lata, wtedy w razie zaprzestania opłaty składek zabezpieczenie nie upada, lecz zamienia się na bezpremiowe.

* **Pokwitowanie .** Na fundusz ś. p. ks. arcybiskupa Floryana dr. Stablewskiego na stałe popieranie nauki języka polskiego dla dziatwy polskiej odebrałem następujące datki: „Dziennik Kujawski“ 107,70 mrk., Redakcya „Pracy“ 327,74 m., Redakcya „Dziennika Poznańskiego“ 466,05 m. +84,30 m. + 9,00 m., Emanuel Mierzik z Bytomia 1,50 m., Administracya „Kraju“ 25 rubli = 53,45 m., „Kuryer Poznański“t 258,34 mrk.

Razem wpłynęło na fundusz ś. p. ks. Fl. dr. Stablewskiego 8019,09 mrk. Na tem zamykamy składki na wyżej wymieniony fundusz i kwotę całą przekazujemy Towarzystwu Czytelni Ludowych w Poznaniu jako fundusz żelazny imienia ś. p. ks. arcybiskupa Floryana dr. Stablewskiego.

Sumę całą przekazujemy Towarzystwu Czytelni Ludowych w przekonaniu, iż przez to stanie się intencyi składkujących najzupełniej zadość, zwłaszcza iż Towarzystwo Czytelni Ludowych działalnością swą obejmuje cały zabór pruski i wychodźtwo.

Poznań, 24-go lutego 1909.

Komitet unduszu ś. p. ks. arcybiskupa Floryana dr. Stablewskiego.

Ks. Kościelski, skarbnik.

Poświadczam niniejszem, iż w dniu 28-go stycznia 1909 roku wpłynęła do kasy Towarzystwa Czytelni Ludowych jako fundusz żelazny imienia ś. p. ks. arcybiskupa Floryana dr. Stablewskiego suma w ilości 8019,09 mrk.

Dr. Kapuściński,
skarbnik Tow. Czyt. lud.

* **Reklamacye podatkowe.** Ważna nadchodzi dla każdego pora. Zbliża się bowiem czas, w którym interesenci, którzy mniemają, że za wysoki na nich nałożono podatek, wnieść mogą reklamacyę podatkową. Podług teraźniejszości stanu prawnego spisanie reklamacyi podatkowej w sposób właściwy nie małe sprawia trudności. To też zwracamy uwagę, że w broszurze „Prawo podatkowe w Prusiech“ napisanej przez p. **Konstantego Kościńskiego,** znajdzie czytelnik potrzebne wskazówki. Broszura ta wyszła w roku 1908 w Poznaniu. Nabyć ją można we wszystkich księgarniach. Cena 50 fen.

* **Papier Słowackiego.** Znana zaszczytnie fabryka wyrobów z papieru S. W. Niemojowskiego we Lwowie, która jest jedyną nie tylko w Galicyi, ale wogóle na całym obszarze ziem polskich tego rodzaju fabryką, w porozumieniu i za aprobatą komitetu setnej rocznicy urodzin J. Słowackiego, wydała papier listowy „Słowackiego“ w kilku rodzajach, przeznaczając z godną uznania gotowością pewien procent z rozprzedaży papieru na rzecz budowy pomnika poety. — Nadmienić przy tem wypada, że ceny tego papieru, w niczem nie różnią się od ceny innego papieru, tak, że publiczność bez żadnego dla siebie uszczerbku kupując papier Słowackiego przysporzy nie małego źródła dochodu funduszowi budowy pomnika poety. — Pod hasłem więc: „Kupujmy papier Słowackiego“ nie odmawiajmy poparcia myśli tak pięknej.

W końcu zaznaczyć należy, że papier Słowackiego znajdować się powinien i prawdopodobnie będzie, we wszystkich składach papierowych, a gdzieby go nie było, zwrócić się należy wprost do lwowskiej fabryki.

* **Chleb dla swoich.** Fachowy zecer, któryby mógł objąć administracyę ludowego pisma na wychodźtwie, potrzebny zaraz na pensyą 250 mrk. za złożeniem kaucyi 2—3 tysięcy mrk. Bliższych wskazówek udzieli biuro „Straży.“ Adres Dr. Tadeusz Jaworski Poznań.

* **Jabłonowo** Z. Pr. d. 28. II. 1909. Z radością donosimy, że za staraniem naszego ruchliwego starosty p. Bolesława Bardzkiego kupiło grono przemysłowców z Goslerowa miejscowość po ś. p. Antonim i Konstancyi z Ryszewskich Bulińskich od ich córki pani Maryi Machcińskiej z Przeradza w Król. Polskiem za 12,000 mrk. w Jabłonowie w celu zawiązania instytucyi społeczno-narodowej.

Dla dobra społecznego uczyniła pani Machcińska ofiarne ustępstwa, a przez ten czyn zapisała w księgę społeczną złotemi literami i upamiętniła nazwisko ś. p. Rodziców i swoje. Wdzięczność też należy się niedawno zgasłemu ś. p. Zygmuntowi Mieczkowskiemu z Pniewa, który swego czasu bez nadzwyczajnego zysku pod tę budowlę ten kawał ziemi udzielił od swego dziedzictwa.

C. N. S.

* **Loeben,** (Styrya) dnia 24. II. 09. Na dorocznem Walnem Zgromadzeniu Czytelni Polskiej Akademików Górniczych w Loeben wybrany został na rok administracyjny 1909 następujący Wydział: Witold Biskupski, przewodniczący, Ludwik Madejewski, zastęp. przewodniczącego, Roman Plenkiewicz, sekretarz I., Józef Górski, sekretarz II., Kornel Baurdon, bibliotekarz I., Roman Gliniecki, bibliotekarz II., Snisław Jakubiec, skarbnik, Zbigniew Medziński, gospodarz I., Władysław Zechenter, gospodarz II., Bruno Burek, przew. Br. pomocy, Kazimierz Sołtyński, przew. Klubu Sportowego.

Komisya Rewizyjna: Zygmunt Ajdukiewicz, Włodzimierz Święcki, Antoni Wawrzkowicz.

Na Wydziale górniczym, Akademii Górniczej w Loeben złożyli z stopniem inżyniera górniczego II. egzamin państwowy następujący Polacy: p. Stanisław Syska, rodem z Pisarzewic (Galicya) z odznaczeniem, pp. Juliusz Dietze, rodem z Dobrzycy (Węgry) i Karol Kozubski, rodem z Wieliczki, jako bardzo uzdolnieni.

Za Wydział:
W. Biskupski, przewodniczący. **Roman Plenkiewicz,** sekretarz I.

* **Związek podróżujących kupców w Poznaniu.** Zwyczajne miesięczne zebranie odbędzie się w niedzielę, dnia 7-go b. m., o godz. 10-tej przed południem pod Bernardynami. Porządek obrad: 1) Zagajenie, 2) przeczytanie ostatniego protokółu, 3) komunikaty zarządu: a) o przyjęciu nowych członków, b) sprawozdanie delegacyi z 3-go ogólnego zjazdu związku samodzielnych kupców w Pleszewie, , 4) referat kolegi Maciejewskiego, 5) odczyt kolegi Szramkiewicza o „wymowie obcych słów,“ 6) wolne wnioski, 7) zamknięcie zebrania. — Szan. kolegów uprasza o liczny udział w zebraniu.

Zarząd.

Nekrologia.

† **Ś. p. Józef Masadyński,** mistrz garncarski, długoletni major poznańskiej Giełdy strzeleckiej, były prezes Towarzystwa „Gwiazda,“ dnia 26-go z. m. w 67-ym roku życia w Poznaniu. — **Ś. p. Tekla z Kopankiewiczów Müllerowa,** dnia 24-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 76. — **Ś. p. z Majewskich Wiktorya Wesołowska,** dnia 24-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 67. — **Ś. p. Scholastyka z Koperskich Stankiewiczowa,** dnia 25-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Ludwika Nowakowska,** dnia 25-go z. m. w Krempie pod Ostrowem w 78-mym roku ży-

cia. — **Ś. p. Barbara z Silewiczów Jaukszowa,** dnia 27-go z. m. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Teofila Molinck** w Rudkach pod Trzemesznem, dnia 27-go z. m., przeżywszy lat 87. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **„Przyjacielowi.“** — Racya! Nic nowego pod słońcem — już Salomon to napisał w I. księdze, w 9 wierszu.

— **Panu R. C. w S.** — Panie R. C.! — boli nas serce, że twoje rymy do kosza wrzucimy.

— **B. B. Ch.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale wiersza nadesłanego z powodu ortografii (matky, opadno i t. d.) oraz wadliwego rymu i rytmu zamieścić nie możemy.

— **Kordjanowi.“** — 1) Na razie musimy się uporać z wierszami zaległemi, których mamy pełno w naszej tece. 2) Powieść co dopiero ukończona p. t. „Rozczarowanie“ nie wyjdzie w osobnej odbitce.

— **Panu Julianowi Tr. w miejscu. (Esperanto).** — „Praca“ (zeszyt 9) ostatnia wyszła na dzień 28-go z. m. więc zamieszczenie notatki byłoby post festum, bo pierwsza lekcya odbyła się już dnia 25-go z. m.

— **Towarzystwu Śpiewu „Halka“ w Jeżycach.** — Notatka o ostatniem zebraniu miesięcznem (2-go b. m.) doszła nas za późno, już po wydrukowaniu numeru „Pracy“ na dzień 28-go z. m., zatem nie mogliśmy zamieścić. Wszelkie notatki, nie cierpiące zwłoki, muszą dojść do rąk naszych najpóźniej w każdy wtorek rano.

—**Panu Janowi W. w N.** — Odebraliśmy, zamieścimy, dziękujemy za łaskawą pamięć.

— **Panu F. na Górnym Śląsku.** — 1) Naród polski pod obcem panowaniem wyjdzie w osobnej książce nakładem „Pracy“ w przyszłym kwartale. 2) Racya, sprostowanie zamieściliśmy w Wiadomościach w nr. 9-tym „Pracy.“ 3) Co do wiadomej ryciny czyli winiety nie podzielamy zdania Szan. Pana. Jestto nimfa, której przecież malarz-artysta bez nosa i t. d. naszkicować nie mógł. W takim razie trzebaby ostatecznie zaprotestować przeciw malowaniu aniołków w adamowym stroju. Zresztą „Praca“ nie jest pismem dla dzieci. — Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **Panu Fr. Jewasińskiemu w Carogrodzie.** — 1) O zaległe numery „Pracy“ winien się Szan. Pan upomnieć na miejscowej poczcie, na której Szan. Pan zaabonował „Pracę.“ Zresztą chętnie wyślemy życzone zeszyty, ale prosimy o podanie dokładnego adresu (ulicy, numeru domu i t. d.). 2) Pocztówkę Szan. Pana odesłaliśmy owej „sławetnej“ firmie celem informacyi. Widocznie firma ta drwi sobie z odbiorców.

Kalendarzyk historyczny

Dnia 7 marca 965 religia chrześciańska wprowadzona do Polski. — 967 publiczne spalenie bałwanów pogańskich. — 1548 królewicz Zygmunt August odbiera rządy w Prusach.

Dnia 8 marca 1223 śmierć Wincentego Kadłubka. — 1307 wiekopomny sejm prawodawczy w Wiślicy. — 1438 nadanie przez sejm statutu konfederacyi w Korczynie. — 1569 województwo podlaskie przyłączone do Korony. — 1831 walny zjazd obywateli Ukrainy w Czerniawce.

Dnia 9 marca 1440 posłowie węgierscy przed Władysławem III. — 1509 rozproszenie Wołochów nad Dniestrem. — 1589 książę Maksymilian wypuszczony z niewoli.—1630 śmierć Mikołaja Wolskiego, fundatora Kamedułów na Bielanach.

Dnia 10 marca 1424 Zawisza Czarny podejmuje u siebie królów będących w Krakowie. — 1529 śmierć Bogusława, ostatniego księcia pomorskiego.

Dnia 11 marca 1646 śmierć hetmana Stanisława Koniecpolskiego. — 1797 przybycie do Petersburga Stanisława Poniatowskiego.

Dnia 12 marca 1582 wjazd Stefana Batorego do Rygi. — 1656 rozbicie Szwedów pod Jarosławiem.

Dnia 13 marca 1600 wcielenie Estonii do Polski. — 1863 traktaty w Warszawie na wyprawę turecką.

Humor i satyra.

Iskry humoru.

Kiper. Mieliśmy dziś chrzciny.

Stróż. O!? a co się to panu urodziło?

Kiper. Nic! my chrzciliśmy wino.

* * *

Sędzia. Więc pan uciekłeś do Ameryki, a tu zostawiłeś tyle długów?

Obżałowany. Panie sędzio! przecież nie mogłem ich wziąć ze sobą!

* * *

Teolog (przy egzaminie.) Święty Cypryan powiedział, że i najsprawiedliwszy grzeszy siedmiokroć dziennie.

Profesor. Tego przecież nie powiedział święty Cypryan!

Teolog. Ale mógł powiedzieć... przecież to nie jest nic złego!

* * *

— Czy to prawda, że pańska żona śpiewa, gra, maluje i pisze wiersze — a przy tem wszystkiem jeszcze sama gotuje?!

— Prawda... prawda! Inaczejbym nie chodził przecież na obiad do restauracyi!

* * *

Dyrektor (do amanta). Chętnie bym pana zaangażował, gdybyś pan się podjął grać bohaterów.

Aktor (cierpko). Trudnoby mi to było, panie dyrektorze... Ja się właśnie ożeniłem!

* * *

Z małego miasteczka.

Żona. Macieju! wstawaj! pali się!

Mąż. (naczelnik straży ochotniczej). Gdzie?

Żona. Rany boskie... U nas! W domu!

Mąż. A trąbił już trębacz na alarm?

Żona. Dotąd jeszcze nie.

Mąż (odwracając się na łóżku do ściany). No, to uważaj... Jak zatrąbi — daj mi znać.

* * *

Ma kwalifikacyę.

Żołnierzom pewnego pułku dragonów w Galicyi ogłoszono rozkazem dziennym, że który z nich ma kwalifikacyę odpowiednią i chęć, może się zgłosić do pełnienia obowiązków dozorcy w szpitalu garnizonowym.

Przy najbliższym raporcie zgłasza się dragon Łukasz Łopata:

— Melduję posłusznie, panie rotmistrz, że dragon Łopata prosi o przydzielenie do służby szpitalnej.

— Dlaczego chcesz być dozorcą w szpitalu?

— Bo się na tem dobrze rozumiem.

— Czem jesteś w „cywilu?“

— Melduję posłusznie: grabarzem.

* * *

Fałszerstwo.

Coraz częściejszem jest fałszerstwo,
I więcej wchodzi w modę;
Fałszuje pieniądz rzezimieszek,
A dama zaś urodę.
Fałszuje pieniądz rzezimieszek,
Fałszuje kupiec wina,
Fałszuje marki złodziej sprytny,
A buzię zaś... dziewczyna.
Fałszuje marki złodziej sprytny,
Sprzedaje je od ręki,
A stara baba przekwitnięta
Fałszuje swoje wdzięki.
I tak fałszerstwo kwitnie sobie,
W kierunkach wszystkich znane,
Bo dziś niestety czasy takie,
Że wszystko fałszowane.

* * *

Kot i Basia.

(Bajka).

Nigdy się kotek swojej nie zbędzie natury.
Zjadały Basi sadło i myszy i szczury;
Wsadziła więc Filusia: i cóż ztąd wypadło?
Zjadł najpierw szczury, myszy, a potem i... sadło.

* * *

Znalazło się.

Owdowiałej gospodyni Jędrzejowej zginęło prosię. Podejrzenie padło na starego parobka Wojciecha, mimo,

że dotąd zawsze był uczciwym. Gospodyni chciała sprawę załatwić po dobremu, wysłała więc Wojciecha do księdza proboszcza, ażeby mu roztrząsnął sumienie. Proboszcz przypomniał staremu jego całe uczciwe przeżyte lata, a widząc rozrzewnienie w jego twarzy, dodał:

— Znam was, jako dobrego katolika! Pomyślcież tedy o sądzie ostatecznym: co odpowiecie, gdy stanąć przyjdzie oko w oko z gospodynią, a to prosię będzie między wami...

— Księże proboszczu dobrodzieju... a będzie tam pewnie to prosię między nami stało?

— A tak! z pewnością!

— No... to w takim razie powiem: „A... widzicie Jędrzejowo! oto jest tu wasze prosię!“

* * *

Nieuniknione!

Jak często: gniew, irytacya
Naiwną przecież ma stronę,
Wielu oburza się na to,
Co wprost jest nieuniknione!...

Czyż można gniewać się proszę,
Że osioł w dzikim rozpędzie
Bryzga nas błotem z ulicy?...
To osioł! — miejcież na względzie.

Czyliż oburzać się można,
Że szczeka wściekła sobaka?!
U psa to rzeczą zwyczajną,
Bo psia natura już taka.

Czyż można temu złorzeczyć,
Czyż może drażnić to kogo?
Jeśli krzyż świnia potrąci,
Gdy ryjąc przechodzi drogą.

Z tem się oswoić należy,
Przyjść trzeba do przekonania,
Że prasa hakatystyczna
Mieć może — prawo gadania.

* * *

Dla dołków.

Nie śmiałaby się może ona tak często bez przyczyny, gdyby nie lustro, jej podżegacz, drogowskaz jej jedyny. W tem lustrze wdzięk swój obserwując, ilekroć czas się zdarzy, stwierdziła całkiem dokumentnie, że z uśmiechem jej do twarzy. Jak pączek róży śmiechu atak usteczka jej rozrywa, na buzi jej wywierca figlarz dwa dołki, istne dziwa. Ach, co za dołki! Ściga zachwyt ócz męskich owe dołki. W nich siedzi, zdaniem jednych, djablik, — jak inni chcą: aniołki. I ciągle spór się toczy o to, ścierają się opinie i coraz dalej, coraz głośniej dwu dołków urok słynie.

Więc jak tu nie śmiać się jej, która jest dołków właścicielką? By je okazać, wyzyskuje pilnie sposobność wszelką. Śmiech z buzi prawie, że nie znika, jest stałą jej poentą; z widzenia zna ją całe miasto i zowie „uśmiechniętą.“

Wśród wielbicieli jednak czasem ten, ów — co za ideje! — zachodzi w głowę, czego ona wciąż śmieje się i śmieje? I gdy w przeróżnych kombinacyach domysły swoje skupia, pyta: „Pomimo cudnych dołków, czy ona nie jest głupia?“

* * *

Jakoś to będzie.

Kufelskiemu zakazał lekarz pić piwa. Próbował dzień i przekonał się, że umarłby bez piwa.

Pobiegł więc do lekarza i wymęczył na nim, że pozwolił mu na dzień wypić jedną szklankę piwa. Żona pozwoliła mu także wypić drugą, a sam pozwolił sobie wypić trzecią szklankę piwa. Teraz jest przekonany, że kuracya jakoś się powiedzie.



* * *

Rozczarowanie.

— Kopę lat cie nie widziałem. Ostatni raz, pamiętasz, wtedy, kiedyć się starał o pannę X. No, jakże ci się udało!

— Fatalnie.

— Co? dostałeś odkosza?

— Nie. Wyszła za mnie.

Zadanie konikowe.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“, Eleonora Bzyłowa z Krobi.

Z nas ępujących głosek ułożyć piękny czterowiersz, napisany przez jednego z naszych poetów.

a	nie	gą	ża	cić	po	ból	mu
wciąż	le	sa	nie	cić	wy	pró	na
wale	ba	trza	iść	po	me	i	tr
żne	trze	mo	przód	swój	świe	bu	le

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 13-go marca włącznie.

Poźniej nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie zadania konikowego.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Rozwiązanie szarady zamieszczonej w nr. 8-ym:

Jasna Góra.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. K. Wiliński z Nakła, Jan Wachowski z Niechanowa, Marya Pawłowska z Zakrzewa (Prusy Zachodnie) i z Galicyi pp. Br. L. Bach z Mogiły, Marya Zborowska z Andrychowa i Marya Switkowska z Krakowa.

Nagrodę otrzymali: pp. Jan Wachowski z Niechanowa, Marya Pawłowska z Zakrzewa i Marya Zborowska z Andrychowa.

P. Albers.

FRANEK I MARYJKA

CZYLI

SKAZANY NA ŚMIERĆ.

Górnośląska nowela tłomaczona z niemieckiego przez Empę.

I.

Niedaleko granicy austryackiej leży górnośląska wioska Baboszowy, samotna i zapomniana przez resztę świata. Industrya wraz z swemi hałaśliwemi towarzyszami, kominami, fabrykami i machinami, nie znalazła jeszcze przystępu do owej okolicy, to też powietrze nad niewielkiemi pagórkami, ciemnemi lasami świerkowemi i nad dolinami, obfitującemi w bujną trawę, jest tutaj dziewiczo czyste. Rolnictwo i hodowla bydła tworzą źródło dochodu skromnych, niewymagających mieszkańców, pochodzenia morawskiego. Nie są oni bogaci, lecz biedy też nie znają. Kolej żelazna nie przechodzi w bezpośredniej blizkości wsi, dobrze za to utrzymywana żwirówka dzieli ją na dwie równe części . Mieszkania wieśniaków są po większej części drewniane, wapnem pobielone i słomą pokryte chaty, każdą z nich otacza ogródek, pełen trawy i zielska, z którego tylko słoneczniki poważne i wysmukłe, z filozoficznym spokojem patrzą na niebo. Na karłowatych, wykoszlawionych drzewach rosną kwaśne śliwki.

Dwa domy wyróżniają się z pomiędzy innych piękniejszą powierzchownością — są to dwa domy sąsiednie: karczma czyli dom zajezdny Siekiery i z kamienia wymurowany dom bogatego wójta i kamelarza Jana Szefczyka. Wieśniacy nie nazywają go inaczej jak „bogaczem" — podług ich zdania jest to prawdziwy Krezus. Bo on ma dwie posiadłości, jedna ma pięćdziesiąt mórg, druga sto siedemdziesiąt!

Gdy wójt na czwartkowe jarmarki w poblizkiem miasteczku jedzie z zbożem, mieszka w „hotelu" na rynku u Kuberki. Jest to najlepszy hotel, bo drugiego nie ma w mieście!

I tutaj żyje wójt, jak wielki pan — wypija sześć „Kisslingów" i całą butelkę „węgierskiego", pije zaś z wielkiem upodobaniem i chce być widzianym i podziwianym. Raz po raz uderza w swój trzos wypchany talarami i opowiada o swoim synu najstarszym, Franku, a głos jego brzmi dumą i oczy promienieją szczęściem.

— Tak, tak, mój syn — chwali się swoją twardą łamaną niemczyzną, — to mi chłopiec! Dziewczęta przepadają za nim, ale ba, on też dostanie kiedyś majątek, co się zowie! Zostawię mu obydwa gospodarstwa, a on spłaci rodzeństwo. Ale w naszej wsi nie ma żony dla niego, wszystko to biedne, jemu zaś potrzeba bogatej! Pieniądz musi się łączyć z pieniądzem.

Podobnemi marzeniami co do przyszłości syna zajmowała się i stara Szefczykowa, Franek za to nie troszczył się jeszcze o nic. Skończył niedawno dwudziesty pierwszy rok, pomagał we dnie pilnie rodzicom w gospodarstwie, wieczorem siedział w karczmie u Siekiery, płacił gotówką za to, co wypijał i palił i miał przeświadczenie, że w oczach swych rówieśników był przedmiotem zazdrości, a w sercach piękności wiejskich przedmiotem cichego uwielbienia i pożądania. Mianowicie „na muzykach" bywał bohaterem. Jeżeli z strony reszty „złotej młodzieży" wiejskiej groziły mu przy takich okazjach nieprzyjemności, to łagodził wzburzone umysły tem, że kazał dać na „zgodę" achtel bawarskiego i że muzyka grała na jego koszt tylko!

Dziś bawiono się wesoło w karczmie.

Karczmarz dostał od sołtysa pozwolenie na tańce aż do północy, potrzebował więc dopiero o dwunastej zamknąć dom.

Izba, w której tańczono, przybrana była wspaniale. Od środka sufitu, to jest od haka, na którym wisiała lampa petrolejowa, przeciągnięto sznury w cztery kąty izby i umocowano na nich mnóstwo kolorowych kawałków papieru — co miało zastępować girlandy. Zielone gałęzie świerkowe zakrywały nagość ścian, ale oprócz tej ozdoby jaśniały w izbie jeszcze trzy obrazy w niezmiernie pstrych kolorach.

Sześciu wiejskich muzykantów stało na podwyższeniu i dęło z całej siły w trąby i flety, a blaszane te instrumenty dziwne nieraz wydawały tony. Ale takt polki i walca brzmiał, jak się należy, i to wystarczało.

Na długich ławach wzdłuż czterech ścian izby, siedziały mężatki i dziewczęta, ładne, zdrowe, hoże i serdeczne postacie! Nie miały na sobie ani jedwabiów ani aksamitów, tylko krótkie, kolorowe i niezmiernie ukrochmalone spódniczki perkalowe. Szkoda było zakrywać w ten sposób wysmukłych i giętkich bioder, nie widać ich było wcale, bo każda tancerka miała na sobie cały zapas spódników! Czerwony spencerek obejmował pełną pierś, a na głowie chwiały się i skłaniały przy tańcu wysokie wieńce z pozłotka i kolorowych kwiatów z papieru.

Po za „szynkfasem", to jest prostym drewnianym stołem, znajdującym się w jednym kącie izby, nalewał karczmarz „pojedyńcze" piwo, sznapsa, „bawarskie", cedrowe wino, limonadę i zafarbowaną wodę selterską. Tylko podczas pauzy otaczali tancerze szynkfas, pili, palili czterofenygowe cygara, zanosili też trochę wina lub wody swoim tancerkom, rozmawiali głośno, hałaśliwie, według zwyczaju i mianowali się nawzajem nader dziwnie brzmiącemi pieszczotliwemi słowami, np. „złoty braciszku," „ty piorunie jakiś", „złodzieju najmilszy"! Ale skoro tylko zabrzmiała muzyka, kręciło się po izbie zaraz z piętnaście do dwudziestu par, śmiejąc się, tupiąc nogami i podkrzykując wesoło. Obłoki pyłu wznosiły się do góry, atmosfera zaś stawała się zwolna podobną do atmosfery, jaką wydziela rozpalony piec w fabryce szkła. Lecz to nikomu nie przeszkadzało, ani w wesołości ani w zabawie.

Koło stołu karczmarza siedzieli pan nauczyciel Breitkopf, sołtys Kotremba, żandarm Hesse i pan inspektor Füll-

bier z sąsiedniego dominium. Honoracya ta wiejska rozmawiała bardzo żywo o ostatnich politycznych wiadomościach, jakie właśnie przynosiła lokalna gazetka katolicka z powiatowego miasta.

— Gdzie Franek Szefczyk? — krzyknęło teraz kilku chłopaków hałaśliwie na środku izby. — Musi nam dać coś na „lepszą!“ On może! Ma dosyć pieniędzy na to!

— Franek jest dziś przy Maryjce Cuchanek — zawołała jedna z młodych mężatek, która po wypiciu zbytniej ilości wina płonęła teraz jak piwonja. — Głupia dziewucha ta Maryjka! Myśli może, że on się ożeni i weźmie jej zadłużoną chałupę i dziesięć mórg ziemi! Niechby Franek dziś do mnie przyszedł — ba, mój stary już od pół roku pracuje w Bottrop!

Chłopaki śmiały się i uściskały pijaną kobietę.

Ale ona miała jednak słuszność.

Franek nie odstępował dziś ani na chwilę Maryjki Cuchanek.

Siedział obok niej w ostatnim kącie izby; była to też rzeczywiście śliczna dziewczyna, cicha, łagodna i skromna.

— Zkąd masz tę ładną nową suknią i niebieski fartuch? — pytał Franek.

— Byłam tego roku w sąsiedniej wsi na dominialnej robocie, tam oszczędziłam sobie kilka twardych — odrzekła Maryjka nieśmiało.

— Wiesz — odezwał się po chwili milczenia z błyszczącemi oczami, — taka mi się dziś ładna wydajesz, jak jeszcze nigdy! Tyś jednak najładniejsza z wszystkich dziewcząt, jakie tu są!

— Nie mów takiego głupstwa, Franek, — szepnęło dziewczę niechętnie — czego ty chcesz odemnie? Ty jesteś synem najbogatszego gospodarza we wsi, a ja jestem córką biednego chałupnika. Mam co prawda tylko jeszcze jednego brata, ożenionego w Westfalii, ale co ja kiedyś tam dostanę? Najwyżej z trzysta marek i chałupę. Twoi rodzice patrzą za pieniędzmi, ty się nie możesz ze mną ożenić, a czego innego — nie chcę. Jestem porządną dziewczyną. Idź lepiej precz odemnie!

— Nie pójdę — zawołał Franek hardo. — Najpierw wypijemy razem butelkę jabłecznika, a potem będziemy cały wieczór tańczyć razem!

Po tych słowach zerwał się, pobiegł do szynkfasu i przyniósł wino i kieliszki. Maryjka nie miała wcale czasu na powiedzenie „nie“, a może też nie byłaby tego wcale powiedziała... Przecież Franek był też i najpiękniejszym młodzieńcem we wsi!...

Franek i Maryjka wypili razem wino. Twarz dziewczęcia płonęła tak jak jej serce i nagle zbudzona namiętność. A gdy potem oboje szczęśliwi tańczyli, przycisnął chłopak silnem ramieniem giętką postać dziewczyny do siebie, aż serce jej zadrżało rozkosznem wzruszeniem.

— Pójdź ze mną Maryjko — szepnął namiętnie i gorąco.

— Nie, nie pójdę!

— Musisz!

— No, jeżeli muszę... Ale najwyżej na kwadrans! Tak tu gorąco... chciałabym odetchnąć trochę świeżem powietrzem...

Niepostrzeżenie wysunęli się oboje z izby i poszli przez ogród dalej... Cicho było za karczmą na dalekiem polu.

Ciepła, cicha noc latowa — niebo zasłane najpiękniejszemi, najjaśniej błyszczącemi gwiazdami, a białosrebrne promienie księżyca spływają na łąki i lasy...

— Nie śpijcie, — szepce księżyc cicho i budzi senne drzewa — noc — to pora miłości!

I miłość i namiętność ogarnia całą przyrodę.

Franek i Maryjka idą wązką polną dróżką. Dalej i dalej, dopóki nie ginie ostatni dźwięk muzyki w karczmie. Idą aż do wąwozu pod lasem — tam siadają na miękkiej, wysokiej trawie, i w gorącym uścisku szeptają sobie słowa namiętnej miłości.

A srebrnobiałe promienie księżyca przesuwają się lekko nad nimi i mówią cicho wiecznym, jasnym gwiazdom:

— Miłości, święty darze przyrody! Rozkosz twoja przepełnia szczęściem robaka w pyle i stęsknione serca ludzi! Kogo ty ogarniesz, ten ci się oprzeć nie potrafi! Ty ozłacasz wapnem wybielone ściany chaty i błyszczysz jaśniej, niż złocony przepych w pałacach. Bo ty jesteś prawdziwą! Czy księżna w szatach purpurowych, czy wieśniaczka w płóciennej koszuli — jedna i druga poddawają się twym czarom i twej potędze!

II.

Chałupa Cuchanka leżała na końcu wsi, w odległości blizko kilometra od posiadłości Szefczyka. Nie było tam wiele miejsca pod skromnym słomianym dachem — izba, w której spali starzy Cuchankowie, kuchnia, w której spała Maryjka i tuż przy kuchni chlew, w którym znajdowała się krowa, koza i dwie świnie.

Maryjka, po oddaniu serca i honoru bogatemu synowi wójta, przysunęła swoje łóżko tak blizko do nizkiego okna w kuchni, że mogła nawet we śnie usłyszeć ciche pukanie w szybę.

I pukanie to powtarzało się prawie co wieczór i co wieczór prawie otwierało się okienko, i niezmierne szczęście zamieszkało w małej, nizkiej kuchni.

Szczęście to trwało przez kilka miesięcy.

Rodzice Maryjki nie przeczuwali nic złego i rodzice Franka nie domyślali się niczego, chociaż podpadło im to, że ich syn, dawniej tak wesoły i lubiący zabawę, stał się teraz cichym i zamkniętym w sobie.

Ale sąsiedzi szeptali — zawistni, źli sąsiedzi, i plotki krążyły już po wsi, a zazdrość, trująca i niszcząca wszelkie szczęście ludzkie rozpoczęła swoją brudną, podziemną robotę.

Pewnej niedzieli po południu, gdy stary Cuchanek znajdował się w kościele na nieszporach i modlił się szczerze do Boga, z którym każdy rolnik ma zawsze tyle do mówienia o powietrzu i o żniwach, wsunęła się cichaczem Katarzyna Baszysta do jego chaty.

Stara ta plotkarka wiedziała o wszystkiem! Słyszała ona jak trawa rośnie — wyszperała zawsze, jeżeli jaka dziewczyna się zapomniała, znała dokładnie wysokość emerytury każdego inwalidy górnika i wiedziała naturalnie bardzo dobrze, jak sprawa stała z Maryjką. Spotkała dziś starego Macieja Cuchanka, idącego do kościoła i zaraz potem Maryjkę — Cuchankowa musiała więc być sama w domu i z tej sposobności postanowiła niegodziwa ta kobieta skorzystać.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — szepnęła swym płaczliwym, jadowitym głosem. — Tak, tak, sąsiadko! Nie chciałam wam tego powiedzieć, ale ludzie mówią już o tem! No, wolę już być cicho, bo nie trzeba wywoływać gniewu i obrazy Boskiej! Modlę się zawsze — odmawiam Różaniec i proszę Boga, aby pozwolił wszystkim ludziom być dobrymi! Ale świat taki jest zły! Jak pięknie byłoby to, gdyby ludzie byli uczciwymi, tymczasem ilu się to oddaje szatanowi! Czasem nawet są własne dzieci złe, kochana sąsiadko! Ale wolę już nic nie mówić, bo gdybym wam powiedziała, mielibyście dużo gniewu i kłopotu! Najlepiej będzie, że pójdę sobie tak, jak przyszłam! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jeszcze tylko słówko! Wasza córka — hm — ona jest już tak daleko...

Starej Cuchankowej wypadł gliniany garnek z rąk i rozbił się na kawały, a kawa, którą się w niedzielę po południu raczyła, rozlała się po jej sukni.

— Katarzyno! Co wy mówicie! — krzyknęła przerażona.

— Ja, sąsiadko, ja? Ja nic nie mówię! Tylko ludzie mówią! Spytajcie Maryjki — ona wie lepiej niż ja! I Franka Szefczyka! On też wie dobrze... ale teraz muszę iść prędko do kościoła, bo nie zdążę na błogosławieństwo, a przecież od błogosławieństwa Bozkiego zależy wszystko! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

I już jej w izbie nie było — tej obłudnej, fałszywej kobiety, mającej Boga nie w sercu tylko na języku! We wsi jednak ufano jej nieograniczenie i nazywano ją „pobożną“ Katarzyną.

Z szyderczym śmiechem obróciła się jeszcze kilka razy i patrzała na Cuchankową chatę, potem splunęła i rzekła głośno:

— Teraz ma! Dobrze jej! Kawa będzie jej gorżko smakować!

I poszła prosto do kościoła, odmawiając pacierze po drodze, a w kościele śpiewała ile jej głosu i sił starczyło piękną, wspaniałą pieśń:

„Święty Boże, Święty i nieśmiertelny!“

I stara Cuchankowa klęczała na gliniastej podłodze w swej chacie i w żalu serdecznym modliła się do Boga:

„Odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom!“

Ale potem odbyła się gwałtowna scena pomiędzy matką i córką!

Maryjka prędzej wróciła z kościoła, niż ojciec.

— Maryjko! Maryjko! — wołała matka już zdaleka — jaką ty nas hańbą okryłaś! Coś ty uczyniła, dziewczyno?

Pomimo wielkiego gniewu, jaki wrzał w sercu Cuchankowej, brzmiał głos jej mimowolną litością i miłością macierzyńską.

— Matko! Matko złota, — błagała dziewczyna, — darujcie, przebaczcie mi! Ja tak kocham Franka! Tak, jak wy kochaliście ojca! Tak, wszystko jest prawdą! Przebaczcie mi, bo się utopię! Franek ożeni się ze mną, przyrzekł mi to! On mnie też kocha i nie zawiedzie mnie! Matulu złota, kochana! Ja już z domu nie wyjdę! Ukryję mój wstyd przed ludźmi, aż się Franek ze mną ożeni! a wiem, że ojciec jego patrzy na majątek, ale Franek będzie prosił za mną! Obiecał mi to i kocha mnie! Mamulko jedyna, nie mówcie ojcu o tem, bo się doprawdy utopię!

I nieszczęśliwa dziewczyna głośno płacząc, rzuciła się matce do nóg.

A serce matki przebaczyło jej natychmiast!

Od owej godziny nie opuszczała Maryjka domu rodzicielskiego ani na chwilę.

Ale sąsiedzi szeptali — źli, zawistni ludzie, a jadowity język pobożnej Katarzyny Baszysty nie odpoczywał wcale.

Katarzyna wypełniała swoje obowiązki względem bliźnich najchętniej w niedzielę — dzień ten wydawał jej się najstósowniejszym do służenia znajomym i przyjaciołom.

To też w tydzień po udzieleniu „dobrej wiadomości“ starej Cuchankowej, udała się do wspaniałego domu bogatego wójta. Tym razem wybrała godzinę, w której zastała pana domu samego; umiała ona zawsze wszystko doskonale urządzić i obmyślała za każdym razem plan bitwy tak, jak najwytrawniejszy generał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, panie Szefczyk, — rozpoczęła temi słowami swoje oskarżenie, — jacyście wy szczęśliwi! Macie prawo być dumnym, bo jesteście najbogatszym i najwięcej szanowanym człowiekiem w całej wsi! Jesteście kamelarzem — wójtem, członkiem dozoru kościelnego, a niedługo potrwa, to was i członkiem dozoru szkólnego zrobią!

Katarzyna umiała trafić w słabą stronę każdego. — Szefczyk oddawna już nie życzył sobie niczego tak gorąco, jak być członkiem dozoru szkólnego. Uśmiechnął się więc bardzo uprzejmie i wyprostował swoją wyniosłą olbrzymią postać.

— Tak, możecie być dumni! I z Franka możecie być dumni — bo to najpiękniejszy chłopak we wsi, a przytem pilny i nie żaden hulaka. Gdyby tylko nie... Taki chłopak powinien się ożenić z najbogatszą dziewczyną z okolicy! Znam Hankę Greczel z Bośnicy koło Głupczyc, dostanie ona dwadzieścia tysięcy marek posagu i Brygidę Andreszkę z Mszanny koło Leśnicy — jest to sierota i ma po matce piętnaście tysięcy marek! To mi dziewczęta! Ale, na, wiecie— pfe...

Jan Szefczyk zerwał się szybko z ławki i popchnął ją tak silnie, że się przewróciła. Twarz jego poczerwieniała, a oczy zdawały się wychodzić z jam. Był on niezmiernie gwałtowny, aż do szaleństwa, gorąca krew morawska płynęła w jego żyłach.

— Co tam pleciesz, stara cyganko — krzyknął groźnie i zacisnął żylaste ręce. Zwinna jak łasica wysunęła się chuda Katarzyna za drzwi, bo się lękała wybuchu uczuć wójta. Ale będąc już bezpieczną za progiem, zawołała szyderczo:

— Wasz Franek chce się żenić z tą żebraczką, Maryjką Cuchanek! Bo ona już jest tak daleko...

I stara rajfurka znikła.

A Szefczyk, nieprzytomny z złości biegał jak szalony po izbie. Szklanki stojące na stole zrzucił na ziemię tak, że się wszystkie potłukły, a jakąś miskę rzucił o ścianę. Potem porwał gruby kij dębowy i wywijał nim w powietrzu.

— Poczekaj! Poczekaj! — ryczał — ja cię zabiję! Ty — ty... żeby cię pioruny... ta dziewczyna musi zdechnąć w moich rękach...

Gdy żona jego weszła do pokoju, opowiedział jej wszystko, krzycząc nieustannie, jak gdyby to co mogło pomódz!

Szefczykowa nie posiadała łagodnego usposobienia Cuchankowej — i ona była gwałtowną, przykład jej męża nie nadawał się wcale na złagodzenie jej charakteru.

To też nie starała się teraz bynajmniej o uspokojenie jego szalonych wybuchów złości — przeciwnie, klęła razem z nim i groziła strasznie nieobecnemu synowi. Cała jej złość spadała naturalnie głównie na biedną Maryjkę, która za pomocą sideł szatańskich umiała ogarnąć bogatego ich syna tak, że mu całą zniszczyła przyszłość. Bo która z bogatych dziewcząt pójdzie teraz za niego, za ojca nieślubnego dziecka? Było to we wsi największą hańbą dla młodych ludzi.

— Skoro przyjdzie do domu, musi się do wszystkiego przyznać — krzyczała w najwyższem uniesieniu. — Pójdę tymczasem do sąsiadki Siekiery, niech nam poradzi, co mamy z nim zrobić! I proboszcz też z ambony zapowiedzieć musi, że niegodziwą tę dziewczynę wypędzi z parafii swojej! Taki wstyd! mój Boże, taki wstyd!

I zarzuciwszy na głowę turecką chustkę, wybiegła, płacząc głośno z pokoju.

Na wsi interesuje się jeden sprawami drugiego jak własnemi — wszyscy są tu więcej zbliżeni do siebie, niż w mieście, a miłość i nienawiść odzywają się tutaj z wielką siłą i namiętnością.

Franek Szefczyk nie przeczuwał wcale, jakie upokorzenie i poniżenie czeka go dziś jeszcze w domu. Przepędził cały wieczór potajemnie z Maryjką i układał z nią złote plany na przyszłość. Miał nadzieję zmiękczenia serca rodziców i otrzymania od nich pozwolenia na zawarcie z nią małżeństwa, tem więcej, że ważna bardzo przyczyna zmuszała go do zaślubienia ukochanej Maryjki.

(Dokończenie nastąpi.)

Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

10 (Ciąg dalszy).

Ale Anita była dziś w złym humorze.

— Trzy dni nie byłeś u mnie! — zawołała zadąsana. — Myślałam, że się wogóle już nie pokażesz! I...... — dodała po chwili, — inni myśleli tak samo.

Porucznik zmarszczył gniewnie czoło i odszedł do okna.

— Jesteś dziś znowu grymaśną, Anito, — rzekł niechętnie. — Nie byłem u ciebie, bo nie mogłem! Car, mój dostojny kuzyn potrzebował mej obecności. Musiałem pełnić służbę, jak pierwszy lepszy oficer linii. Pospólstwo zaczyna zanadto hałasować — literaci i synowie popów buntują lud! Ach, gdybym mógł, kazałbym ich wszystkich bić knutami......... Czemu już przed trzema tygodniami nie pojechałem do Monte Carlo! Co mnie obchodzą tutejsze niepokoje! Niech się Mikołaj stara sam o przywrócenie spokoju!

Anna rozśmiała się.

— Dobrze, że w Carskiem Siele nie słyszą ludzie tego, co tu mówisz!

Wielki książę Aleksander zbliżył się znowu do niej.

— Mylisz się, — zawołał, — ja bym sobie nic z tego nie robił! Powiedzieliśmy mu już dość często nasze zdanie, ale co to pomoże! Czy kto słyszał naprzykład, aby panujący kazał kuzynom pełnić przy sobie obowiązki adjutantów? Wkrótce każe nam służyć jak kamerdynerom! Ale wtedy musi być koniec, albo tak, albo owak!

Książe umilkł i przygryzł usta, jak gdyby był za wiele powiedział. I zmieniając szybko temat, dodał:

— Co miała znaczyć uwaga twoja poprzednio?

— Jaka uwaga? Nie przypominam sobie!

— Że inni myśleli także, że już do ciebie nie wrócę.

Anna przymrużyła oczy i spojrzała przenikliwie na swego wielbiciela.

— Ah, tak! — rzekła, wiem już! Otóż inni traktowali mnie tak, nie jak gdybym była — przyjaciółką — Wielkiego Księcia, tylko jaką pierwszą lepszą studentką.

— Kto — kto śmiał ci ubliżyć? W cytadeli Petropawłoskiej jest dużo jeszcze miejsca...

Wielki książę zbladł od gniewu.

— Głupstwo. Żądałam tylko, aby młody skrzypek artysta, o którym całe miasto mówi, grał wieczorem u mnie. Prosiłam — ja, Anna Michałowna, poniżyłam się do prośby i...

— I on ci odmówił!

— Gorzej niż to!

— Co?...

— Bo żadnej nie otrzymałam odpowiedzi!

— Ah! Tego już zanadto!

Książę Aleksander pocałował znów jej rękę.

— Będziesz znów w dobrym humorze — szepnął — gdy ci tego artystę sprowadzę?

Anita przycisnęła złotą główkę do jego ramienia i uśmiechnęła się słodko.

— W wybornym humorze, Olesiu.

— Więc zaproś znajomych i przyjaciół na jutro, na dziewiątą. Zabawimy się doskonale!

— — — — — — — — — — —

— Nie mam ani czasu ani ochoty wdawać się z panem w dłuższe rozprawy — mówił Morton Lenis mocno wzburzony do Buttlera. — Nadzieję odnalezienia mej córki straciłem już prawie i lękam się, że ona już nie żyje. W pomoc detektiwów nie wierzę wcale — przyrzekają, Bóg wie co, i na tem kończy się wszystko. Pan też wyjątku pod tym względem nie tworzysz.

Buttler słuchał zarzutów króla kolei bardzo cierpliwie i milczał.

Lenis unosił się coraz to więcej.

—Jest tak, czy nie? — zawołał.

— Musimy wszystko odczekać — brzmiała spokojna odpowiedź prezydenta policyi.

— Do stutysięcy szatanów, zdaje mi się, że czekałem dosyć długo.

Buttler wpatrywał się w niego swemi bladoniebieskiemi oczami tak, jak gdyby nie mógł pojąć tego gniewu i wzburzenia.

— Nie możesz pan żądać prędzej pieniędzy na weksel, dopóki weksel nie jest płatnym.

— Co to ma znaczyć?

— Dałeś pan rok czasu Perosiniemu i przed upływem tego roku nie możesz mu robić żadnych wyrzutów.

— Niech go djabli wezmą. Ten brudny Włoch jest ostatnim, który mi odda moje dziecko.

Buttler nie uważał za potrzebne przedłużania tej rozmowy, jaka się toczyła pomiędzy nim i Lenisem w jego biurze na Scottland Yard — wstał więc dając tem znak, że pragnie ją zakończyć.

Lenis zdumiał.

— Jesteś pan piekielnie skąpy w słowa — rzekł — i bardzo śmiały. Bo zwykle daje Morton Lenis znak, kiedy sobie życzy zakończyć.

Buttler pochylił się nad jakimś papierem, leżącym na stole i rzekł bardzo uprzejmie:

— To zależy wszystko od warunków, w jakich się znajdujemy. Zresztą będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli pan zechcesz tu jeszcze pozostać.

Lecz teraz wstał Lenis także.

— Masz pan słuszność — zawołał. — Nie trzeba nikomu przeszkadzać, czas, to pieniądz! Słuchajno, Buttler, podobasz mi się. Chcesz przyjąć miejsce u mnie?

— Nie sir, moje obecne miejsce bardzo mi jest dogodne.

— Żałuję i to w twoim interesie, ale jak chcesz, Buttler! Żegnam cię!

I zwrócił się ku drzwiom. Ale prezydent policyi zatrzymał go raz jeszcze.

— Wyjeżdżasz pan? — zapytał.

— Tak, najpierw do Niemiec, potem do innych kraji i wszędzie wezwę detektiwów do pomocy!

— Szczęśliwej drogi!

— Dziękuję.

Lenis mruknął jeszcze kilka niewyraźnych słów — brzmiały one jak klątwa albo coś podobnego...

Potem drzwi zamknęły się z trzaskiem i multimilioner opuścił gmach policyjny.

— — — — — — — — — —

— Czego u licha może policya chcieć od nas? — mówił dawniejszy właściciel Obserwatora, pan Males do Garanda, do redaktora tegoż pisma, podczas kiedy obydwaj razem czekali w przedpokoju szefa policyi.

— Nie wiem!

— Gdybyś pan sam był wezwany, to już rozumiem, redaktorzy mają zawsze coś na pieńku, ale czego on odemnie chce, tego doprawdy nie rozumiem! Powiedz mi, kochany panie Garand, czego on chce odemnie?

Pan Garand tym razem nie odpowiedział nic. Zaczął tylko nucić półgłosem znaną piosenkę brukową: „viens poupoule, viens poupoule“ i odwrócił się do okna.

— Mówże pan — zawołał Males rozgniewany.

Pan Garand uśmiechnął się szyderczo.

— Może chce panu powinszować owych 250,000 franków, które pan zarobiłeś w przeciągu pięciu minut, podczas kiedy ja musiałem usta obetrzeć po niezjedzonym obiedzie.

Pan Males przybrał minę człowieka ciężko obrażonego i nie pytał już o nic więcej złośliwego redaktora. Obydwaj zresztą nie potrzebowali zbyt długo czekać, bo jeden z policyantów wszedł teraz do przedpokoju i poprosił ich do gabinetu szefa.

— Pan jesteś mi znany — zaczął szef bardzo uprzejmie — zwracając się do pana Males i rządowi także. Minister Brue, mój przełożony, uznaje chętnie, że popierałeś zawsze jego politykę. — I panu także — dodał, patrząc na redaktora — jest minister wdzięczny.

Obydwaj dziennikarze podziękowali za pochwałę głębokim ukłonem.

— Panie Males, — zaczął szef znów po chwili,— mogę panu powiedzieć w zaufaniu, że umieszczono cię na liście mających otrzymać order Ligji honorowej.

Twarz pana Malesa żywą zajaśniała radością. Błogosławił w duszy za przychylność swoją dla rządu, wyjąkał kilka słów podziękowania i spojrzał z głębokiem rozrzewnieniem na miejsce na surducie, na którem wnet czerwona zajaśnieje wstążeczka.

Z tem wszystkiem czekała go jeszcze bardzo nieprzyjemna niespodzianka. Szef policyi zaczął go przesłuchiwać tak, jak jakiego zbrodniarza.

— Niedawno umieściłeś pan w swej gazecie wiadomość o przybyciu pana Lenisa, nieprawda?

— Tak.

— Potem odwołałeś ją?

— Tak!

— Czemu?

— Bo wiadomość ta była mylną.

— Panie Garand! Było to tak rzeczywiście?

Po twarzy redaktora przesunął się promień szczerej radości. Jak miło mu było zadać kłam swemu dawniejszemu chlebodawcy!

— Nie zupełnie — odrzekł z wyrazem wzruszającej otwartości.

— Więc opowiedz pan, jak się rzecz miała!

Garand nie dał się długo prosić. Powtórzył dosłownie całą rozmowę z Lenisem i czuł się niezmiernie z siebie zadowolonym.

Szef policyi słuchał i zmarszczył czoło.

— Zupełnie tak, jak brzmi nasza informacya — rzekł nakoniec, a zwracając się do pana Males, dodał szorstko:

— Odwołanie to pozbawiło pana orderu.

Pan Males poczerwieniał.

— Poczekaj mój przyjacielu — zawołał przyskakując do pana Garand — ja ci zapłacę za to, że mnie tak haniebnie zdradziłeś. Odkupiłem od Lenisa Obserwatora za 200,000 franków, ale ty będziesz pierwszym, którego z redakcyi wypędzę!

Pan Garand roześmiał się jednak.

— Zaraz, zaraz — odrzekł spokojnie — interes twój z Lenisem nie jest taki świetny, jak myślisz. Czy wiesz, dla czego Lenis nie chce, aby się dowiedziano o jego pobycie w Paryżu? Nie? Więc słuchaj! Rzucił na giełdy całego świata akcye Panamy po tak niskich cenach, że zaczęły upadać. Każdy sprzedawał je, chociaż za byle co, byle ich się pozbyć. On kupował wszystkie, nawet swoje własne i gdy je miał w kieszeni, podniósł kurs, i zarobił w przeciągu kilku miesięcy ośmnaście milionów dollarów. Z samej Francyi wyniósł dwanaście milionów franków. Gdyby się na giełdzie było rozgłosiło, że on tu jest, byliby się wszyscy domyślili jakiegoś podstępu z jego strony. Nikt nie byłby akcyi sprzedał i Francya byłaby dziś o dwanaście milionów bogatszą. Stary ten łotr umie wszystko wyzyskać.

Pan Males umilkł. Lecz po chwili podniósł głowę i rzekł z pewnym tryumfem:

— Bądź co bądź zarobiłem na nim 50,000 franków. I to coś znaczy.

Szef policyi wstał.

— Dobry patryota francuski nie powinien tak mówić, — odezwał się uroczyście. — I teraz mam panu to jeszcze do powiedzenia, że Moniteur zda jutro sprawę z całego skandalu i wykaże jasno, z czyjej winy tyle uczciwych ludzi straciło cały dobytek. Zdaje mi się, że Obserwateur nic na tem nie zyska. Żegnam was, moi panowie.

— — — — — — — — — — — —

Rochs liczył pieniądze, leżące przed nim na stole i układał je w rulony, które starannie chował do żelaznej szkatułki. Twarz jego promieniała radością i zadowoleniem.

— Świetną miałem myśl przybycia do Rosyi, — mówił sobie w duszy. — Jestem tu bezpiecznym przed Lenisem; przed Maffią, a nadto mam pieniędzu jak piasku!

W tejże chwili zapukano do drzwi.

Rochs jednym zamachem zgarnął pieniądze, wrzucił je do szuflady i potem dopiero zawołał:

— Proszę.

Do pokoju wszedł młody człowiek z ogromnemi plakatami, na których zapowiedziany był trzeci koncert Artura Geusmore. Tym razem miał artysta grać utwory Rochsa.

Po odejściu chłopaka dokończył „pan kapelmistrz“ liczenia pieniędzy, zamknął szkatułkę i poszedł do salonu, w którym Artur grał właśnie utwory swego opiekuna.

— Wiesz, że dziś grasz na koncercie, — rzekł, wpatrując się w niego.

Artur obojętnie skinął głową.

— I to moje kompozycye. Pamiętaj, że i ty i ja musimy wielkie odnieść tryumfy!

— Tak!

— Sala jest wykupiona. Z dworu nikt wprawdzie nie będzie, bo w Carskiem Siele bardzo ważne odbywają się konferencye. Przed godziną zastrzelono jednego z przybocznych adjutantów cara, ale to nam nic nie szkodzi. Wszystkie bilety sprzedane.

Artur nic na to nie odpowiedział.

Rochs spojrzał uważnie na niego, potem wziął plakat i położył go na stole.

— Czytaj, — rozkazał.

Artur przeczytał natychmiast.

— Kto jest owym Arturem Geusmore?

— Ja!

— Bardzo dobrze. Ćwicz się dalej! Dziś musimy zbierać laury obydwaj!

Po tych słowach zamierzał wrócić do swego pokoju. Lecz przypadkiem spojrzał na nuty rozrzucone na fortepianie i coś mu tam podpadło. Zbliżył się więc, aby zobaczyć, co właściwie zwróciło jego uwagę, gdy nagle stanął, jak skamieniały. W jego pracowni dały się w tejże chwili słyszeć liczne głosy, szczęk broni i głuche uderzenie kolb o podłogę.

Przerażony, otworzył drzwi i włosy mu dębem stanęły na głowie.

Pokój jego napełniony był żandarmami i żołnierzami których przywódca, jakiś młody oficer, natychmiast ku niemu podszedł.

— Jesteś ty Arturem Geusmore? Skrzypkiem artystą? — zapytał szorstko.

Rochs był tak przestraszony, że na razie nawet mu odpowiedzieć nie zdołał. Rozgniewało to jeszcze więcej ciętego oficera.

— Czyś głuchy sukisynu? — krzyknął, — Albo czy nie chcesz mi odpowiedzieć? Ja cię nauczę ruszać językiem!

Rochs oprzytomniał i postanowił się bronić do upadłego. Nie wiedział wprawdzie o co chodzi, i wobec rządu rosyjskiego do żadnej nie poczuwał się winy, ale w Rosyi było teraz albo wszystko niemożliwe, albo wszystko możliwe!

— Czego pan chce od Geusmora i odemnie? — rzekł również szorstko. — Nie wiesz pan, że jesteśmy wolnymi obywatelami Ameryki? Uskarżę się natychmiast konsulowi Stanów Zjednoczonych!

— Zrób to, mój kochany, — rozśmiał się oficer szyderczo, — mam nadzieję, że po drodze żadne cię nie spotka nieszczęście. Bo ulice nie bardzo tu są bezpieczne. A teraz pytam po raz ostatni: jesteś ty artystą Arturem Geusmore?

Artur słyszał przez otwarte drzwi całą tę rozmowę. Lecz pozostał obojętny na wszystko, jak zwykle, nawet wymienienie jego nazwiska żadnego na nim nie wywarło wrażenia. Dopiero gdy go Rochs zawołał, wyszedł i ukłonił się.

— To jest mój siostrzeniec, Artur Geusmor, — rzekł Rochs. — Czego pan chcesz od niego?

— Nic złego, — odpowiedział oficer już o wiele grzeczniej. — Na wysoki rozkaz przyniosłem mu zaproszenie na dzisiejszy wieczór, aby zaś nie odmówił, mam go zabrać zaraz z sobą.

— Ależ to niemożliwe! Mój siastrzeniec daje dziś koncert, — krzyknął Rochs, załamując ręce.

Oficer wcale już na niego nie zważał. Prosił Artura, aby się przygotował do wyjścia i zapowiedział mu, że w dziesięciu minutach powinno wszystko być gotowem.

Artur odszedł do swego pokoju. Oficer przekonał się najpierw sam, czy pokój ten innego jeszcze nie ma wyjścia, poczem zamknął drzwi na klucz.

— A co się ze mną stanie? — zapytał Rochs. — Gdzie ja się mam podziać?

— Gdzie chcesz! Ja mam rozkaz dostawienia tylko Artura Geusmore!

— Ale on bezemnie grać nie może! Ani jednej nuty!

— Czy to tylko prawda? — zapytał oficer, patrząc na niego z wyraźnem podejrzeniem.

— Z pewnością!

— No, to zabiorę pana także! Pamiętaj mój kochany raz na zawsze — że w Rosyi nie odmawia nikt na zaproszenie takiej kobiety jak Anna Michałowna!

— — — — — — — — — — — —

Co to było? Co się stało?

Straszliwe pchnięcie, brzęk szkła, zgrzyt żelaza i równocześnnie prawie przerażające krzyki. Perosini czuł się podniesionym, rzuconym w górę i nagle znalazł się pod ławką, przyciśnięty poduszkami. Lewe ramię zabolało go tak, że na chwilę stracił przytomność, lecz hałasy i krzyki w koło niego zbudziły go bardzo prędko. Z czoła spływał cienki strumień krwi, której przecież obetrzeć nie mógł, mając ręce mocno związane. Zamknął więc oczy i usiłował zebrać myśli, aby sobie wytłumaczyć rozpaczliwe położenie, w jakiem się znajdował.

Nieszczęście na kolei uratowało go od strasznej śmierci, jaką mu Bob Stanfield miał zadać. Ale co się z nim teraz stanie? Gdzie podział się morderca?

Nieco dalej, po prawej stronie, usłyszał ciche jęki. Musiał tam ktoś leżeć pomiędzy szczątkami roztrzaskanego wagonu. Ciemno było jak w miechu, ale chociażby i słońce jasno świeciło, nie byłby mógł niczego dojrzeć. Musiał mieć oczy zamknięte — inaczej krew mu je zalewała.

I teraz zaczął obliczać szanse ratunku. Zdawało mu się, że ciężko rannym nie jest, a że ludzie szukać będą umarłych i rannych, przeto i jego będą musieli znaleść, chociażby dopiero nad ranem.

Ale głosy biegających tu i tam urzędników i podróżnych oddalały się od niego coraz to więcej.

I znów stracił przytomność.

Nie wiedział, jak długo leżał w głębokiem odurzeniu. Gdy się obudził, nie krwawiła się już rana na czole, mógł więc przynajmniej otworzyć oczy. Leżał tak niewygodnie, że nie mógł się obrócić, ale czuł jednak, że ludzie biegają z pochodniami wzdłuż pociągu. Krzyki nie ustawały ani na chwilę — słychać było rozkazy, jęki boleści i płacz głośny. Jak chętnie byłby i on wołał o pomoc, lecz knebel w ustach nie pozwolił mu nawet jednego wyszeptać słowa. Szalony gniew ogarnął go na myśl, że tu nędznie zginąć musi, natężył wszystkie siły, aby zerwać sznury, lecz poruszenia te wywoływały przejmujący ból w ramieniu. Rana na czole zaczęła go też palić i zimny dreszcz wstrząsał jego członki.

Uniknął więc jednego niebezpieczeństwa dla tego, aby uledz drugiemu? Uszedł pewnej śmierci dla tego, aby znosić teraz długie straszne męki?

Bezładne myśli plątały mu się po głowie. Widział Maffiosów, Norę i Buttlera — wszyscy poruszali się dziwnie i wykrzywiali śmiesznie twarze. Bob Stanfield podnosił znów straszną igłę i kłuł go niemiłosiernie po całem ciele. Ach, jaki to był ból okropny! Czy ta męka piekielna nigdy się nie skończy?

Czuł, że umiera. Ratunek przyjdzie za późno, jutro zobaczą ludzie jego trupa pod szczątkami wagonu. Umierał w nocy, w ciemności, on, który tak lubił światło i słońce. Osłabiony, wycieńczony, popadł w nowe zemdlenie, które jednak nie było tak głębokie, aby nie poznał, że w koło niego dzieje się coś, co równie wielkiem, jak poprzednie, grozi mu niebezpieczeństwem.

Dziwne trzeszczenie i syczenie dało się teraz słyszeć i kłęby czarnego dymu uderzyły mu w twarz. Równocześnie ujrzał nad sobą odblask płomieni i od razu odzyskał przytomność. Przez chwilę oddech zamarł mu w piersi — pojął bowiem swoje położenie i poznał, że rozstrzaskany wagon pali się!

— — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)